... Ewa wzywa 07...

POWIEŚĆ CO MIESIĄC 91

Jerzy Edigey

TAJEMNICA STAREGO KOŚCIÓŁKA

ISKRY

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Jerzy Edigey

TAJEMNICA STAREGO KOŚCIÓŁKA

ISKRY · WARSZAWA · 1976

Rozdział I

Znowu Wrocław

Tak się jakoś składało, że moje drogi reportera chyba od sześciu czy nawet siedmiu lat nie wiodły przez Wrocław. Wreszcie jednak znalazłem się w mieście nad Odrą. Po ulokowaniu się w hotelu, wykręciłem numer centrali Wojewódzkiej Komendy Milicji Obywatelskiej i poprosiłem o połączenie mnie z majorem Adamem Krzyżewskim — moim starym przyjacielem.

— Pułkownikiem Krzyżewskim — poprawiła telefonistka.

„Takiemu to dobrze — pomyślałem sobie — mnie przybywają siwe włosy, jemu gwiazdki".

— Krzyżewski, słucham — odezwał się w słuchawce znajomy, lekko zachrypnięty głos.

Rozpocząłem oczywiście rozmowę od gratulacji awansu na pułkownika.

— Na razie podpułkownika — mój przyjaciel zawsze był ścisły.

Umówiliśmy się na wieczór. Adam już czekał, był zwykle punktualny co do minuty, ja niestety po staremu spóźniłem się i przyszedłem dopiero po kwadransie. Może właśnie dlatego, tuż po przywitaniu się, spotkała mnie z jego strony złośliwość.

— Czytam te wasze wszystkie „kryminały" i za głowę się łapię, jak wy możecie pisać takie brednie?

— Polskie kryminały cieszą się opinią jednych z lepszych w Europie. Są masowo tłumaczone i wydawane w ZSRR, w Czechosłowacji, na Węgrzech, w NRD, a nawet w takich państwach jak Szwecja czy Włochy. I wszędzie mają duże powodzenie — broniłem skóry własnej i kolegów. — Co im można zarzucić? Akcja toczy się zazwyczaj wokół autentycznych wydarzeń. Czy to nasza wina, że powody przestępstwa są w Polsce inne niż na zachodzie? Nie ma u nas porywaczy dzieci i bogatych bankierów. Złodzieje nie włamują się do sejfów bankowych i nie kradną brylantów wielkich jak włoskie orzechy, a bandy gangsterów jak np. w Chicago nie pędzą przez ulice Wrocławia, ostrzeliwując się z karabinów maszynowych.

— Tego by tylko brakowało — mruknął podpułkownik.

— Realia polskiej powieści sensacyjnej — ciągnąłem dalej swoją obronę — są zawsze zgodne z rzeczywistością dnia codziennego. Przyszły historyk, który za paręset lat będzie pisał książkę o życiu Wrocławia w drugiej połowie dwudziestego wieku, właśnie w tak wyszydzanych przez ciebie kryminałach znajdzie najwięcej autentycznych informacji o tym, jak naprawdę to życie wyglądało. A na próżno będzie ich szukał w naszej powieści współczesnej.

— Nie chodzi mi o akcję tych powieści — Krzyżewski atakował dalej — ani o tak zwane „małe realia", o to na przykład, że ludzie stoją w ogonku po kiełbasę, że bilet tramwajowy kosztuje złotówkę, że kino „Śląsk" mieści się na tej ulicy, a kawiarnia „Stylowa" na innej, czy wreszcie o to, że hotel „Panorama" długi i niski jak jamnik jest dziwolągiem architektonicznym. Ale to co wy piszecie o milicjantach, zwłaszcza o oficerach dochodzeniowych, razi już szczególnie.

— Jak to?

— Nie ma chyba ani jednej współczesnej powieści kryminalnej, w której by oficer milicji, jakiś kapitan „biały", „czarny" czy „brązowy" nie siedział w eleganckim nocnym lokalu i ze znudzoną miną nie są-

czył leniwie francuskiego koniaku, obserwując niebezpiecznego przestępcę zagryzającego dzwonkiem śledzia kieliszek czystej. Dałby nam komendant dobrze popalić, gdyby któryś z nas przyniósł rachunek już nie na parę tysięcy, lecz choćby na paręset złotych. Taki „spryciarz" długo by w milicji nie pracował. Musiałby się przekwalifikować, to jest przerzucić się na pisanie kryminałów.

Milczałem, cóż bowiem mogłem powiedzieć?

— Każdy z tych „genialnych oficerów" — podpułkownik zapalał się coraz bardziej — w każdej waszej powieści jest parę razy wyciągany z łóżka w nocy, bo „dzwoni stary" i każe im natychmiast zameldować się w komendzie.

— To się może zdarzyć.

— Owszem, to się może zdarzyć — potwierdził Adam — ale tylko wyjątkowo. Dyżury w placówkach MO, komendach wojewódzkich i powiatowych oraz w komisariatach i w małych posterunkach są odpowiednio rozkładane pomiędzy cały personel. Kiedy jedni śpią, drudzy mają nocną służbę i nie budzą kolegów, lecz sami wykonują swe obowiązki.

— Czasem jednak może zabraknąć kogoś — broniłem się.

— Wtedy rzeczywiście wzywa się tak zwane posiłki na pomoc. Ale, powtarzam, jest to wyjątek. Tak samo i z urlopami.

— Nie rozumiem?

— Co druga wasza powieść — drwił Krzyżewski — zaczyna się od tego, że dzielny kapitan, porucznik czy też major właśnie pakuje walizki, bo wyjeżdża na wczasy. Naturalnie do luksusowego pensjonatu „Orbisu" albo za granicę. W najgorszym razie nad Balaton. I wtedy właśnie odzywa się telefon. Co byście zrobili bez tych telefonów? Dzwoni zwierzchnik i namawia dzielnego pracownika MO, żeby zrezygnował z urlopu, ponieważ przed chwilą popełniono tajemniczą zbrodnię i tylko genialny Sherlock Holmes z ulicy Kacze Doły potrafi jej zagadkę rozwiązać. Nasz bohater więc piejąc z radości szybko rozpakowuje walizy i ochoczo mknie na miejsce przestępstwa. Co za brednie!

— Czy tak nie jest?

— U nas, w milicji, jak i gdzie indziej, z góry opracowuje się plan urlopów dla wszystkich pracowników i układa jednocześnie harmonogram zastępstw. Odwoływanie kogoś z urlopu zdarza się równie rzadko, jak na przykład odwołanie z wypoczynku pracownika „Pafawagu". Pracuję w milicji dwadzieścia siedem lat, zajmowałem najrozmaitsze stanowiska, właśnie najczęściej oficera dochodzeniowego, ale ani razu nikt mi wczasów nie przerywał. A te wasze Penelopy?

— Penelopy?

— Właśnie. Żony milicjantów, które całymi latami na próżno czekają z obiadem i ciężko wzdychając przełykają łzy, widząc, jak schaboszczak stygnie, a męża nie ma w domu, bo akurat ściga bandytę uzbrojonego w trzy karabiny maszynowe. Wreszcie po jakimś czasie takie biedaczki załamują się i występują o rozwód. W co najmniej czterech na pięć powieści kryminalnych powtarza się ten sam motyw, a przecież statystyka wykazuje, że rozwody w rodzinach milicyjnych wcale nie są częstsze niż w jakiejkolwiek innej grupie zawodowej.

Zabrakło mi już sił na obronę — mój przyjaciel nadal bezlitośnie krytykował:

— Ale najbardziej mnie diabli biorą, kiedy przedstawiacie oficerów milicji jako ludzi nieomylnych, zawsze pełnych pomysłów, które by nawet Conan Doyle'owi nie przyszły do głowy. Takim spryciarzom wystarczy posiedzieć chwilę i pomyśleć, żeby przestępca od razu znalazł się w areszcie.

— Statystyka wskazuje na bardzo wysoki procent wykrywanych w Polsce przestępstw. Zwłaszcza zabójstw — replikowałem.

— Zgoda. Ale wiesz dlaczego?

— Dzięki właśnie oficerom MO prowadzącym dochodzenia.

— Nic podobnego! Dzięki temu przede wszystkim, że oficer MO działa nie w pojedynkę, lecz pracuje w zwartym kolektywie. Dzięki wyposażeniu w sprzęt techniczny najwyższej jakości. Zakłady kryminalistyki potrafią dzisiaj na podstawie jednego włosa ustalić nie tylko płeć, ale nawet wiek. A co najważniejsze dzięki temu, że

cały nasz aparat jest stale ściśle kontrolowany. My, milicjanci, mylimy się tak samo jak inni ludzie, z tym tylko, że nasze błędy są szybko wykrywane.

— Tym lepiej dla społeczeństwa.

— Właśnie. Dobrze powiedziałeś. To społeczeństwo udziela nam pomocy w walce z przestępczością. Przestępca jest sam. Nawet jeśli działa w grupie, solidarność gangu załamuje się w chwili niebezpieczeństwa. My w naszej pracy opieramy się nie tylko na kolegach, ale i na społeczeństwie. Dlatego też nie ma „przestępstw doskonałych". Jeżeli są jakieś nie wykryte, to jedynie wskutek zaniedbań naszego aparatu lub zbyt małej ilości danych.

— Istnieją jednak sprawy nie wykryte i umorzone.

— Owszem — przyznał podpułkownik — sprawę umarza prokurator. Dla nas jednak taka sprawa nigdy nie jest zakończona. Co pewien czas do niej się wraca i zaczyna wszystko od początku. Analizuje się wyniki dochodzenia i jego usterki. Jest to praca wybitnie kolektywna. Bardzo często daje pożądane wyniki. Możemy się pochwalić wykryciem sprawców zbrodni po dziesięciu lub nawet po piętnastu latach. Wtedy kiedy zbrodniarzowi wydaje się, że już o nim zapomniano i że jest całkowicie bezpieczny.

— Tyle mówisz o błędach — prowokowałem — chciałbym więc, żebyś się przyznał choć do jednego.

— Dobrze. Zrobię ci tę przyjemność. Opowiem ci o dochodzeniu, które prowadziłem, a które składało się nie z jednej, lecz z wielu błędnych hipotez i błędnych czynności.

— Czy mimo to sprawcy zostali wykryci?

— Stanęli przed sądem i ponieśli zasłużoną karę. Zostali wykryci właśnie dzięki temu, że nie działałem w pojedynkę, właśnie dzięki temu, że moje błędy wykryto. Pomoc zaś społeczeństwa pozwoliła na zdemaskowanie przestępców i na odzyskanie bezcennych dla naszej kultury skarbów. Wprawdzie nie wszystkich, ale na to przebieg dochodzenia już nie miał wpływu.

— Skarbów?

— Tak. Bogatej kolekcji obrazów z muzeum we Wrocławiu.

— Niedawno skradziono cenne płótna w jednym z kościołów włoskich chyba we Florencji. Pisano o tym w naszej prasie.

— Kradzieże dzieł sztuki są ostatnio bardzo „modne". Ten rodzaj przestępstwa nie ominął i naszego kraju. Ale historia, którą ci opowiem, zdarzyła się przed laty. Tutaj u nas, we Wrocławiu. Dzisiaj można ujawnić ważniejsze szczegóły tej afery. Ponieważ jej sprawcy stanęli przed sądem, odsiedzieli wyroki i opuścili więzienie, pominę ich prawdziwe nazwiska. Zastąpię je pierwszymi lepszymi...

Rozdział II

Relikwiarz świętej Jadwigi

— We wtorek 29 maja 1956 roku pracownicy Muzeum Śląskiego we Wrocławiu otworzyli zamknięty przez dwa dni (w niedzielę i poniedziałek muzeum było nieczynne) gmach i zaczęli się przygotowywać do swoich codziennych zajęć. Po wejściu do sali ze zbiorami sztuki złotniczej sprzątaczka ze zdziwieniem stwierdziła, że niektóre oszklone gabloty są puste. Zniknęły srebrne naczynia kościelne i świeckie — eksponaty sztuki złotniczej z XIV—XVIII wieku.

Ponieważ gabloty były zamknięte, więc początkowo myślała, że cenne srebra zabrano do oczyszczenia czy konserwacji. Na wszelki jednak wypadek zawiadomiła kustosza, iż za szkłem nie ma eksponatów.

Kustosza — jak się okazało — nikt nie uprzedził o zamiarze wyjęcia srebrnych naczyń z gablot, żaden z pracowników nie mógł tego zrobić. Prosty stąd wniosek, dopuszczono się kradzieży. Zarządzono alarm. Wezwano milicję.

Stanąłem przed bardzo trudnym zadaniem. Nie miałem tego doświadczenia — uśmiechnął się podpułkownik Krzyżewski — jakie przyszło z latami służby.

Stwierdziłem brak jakichkolwiek śladów włamania. Okna były pozamykane, nigdzie nie naruszono krat. Muzeum nie posiadało automatycznej sygnalizacji alarmowej. Stąd przypuszczenie, że złodzieje dostali się do środka za pomocą podrobionych kluczy czy też wytrychów. Żadnych śladów nie zostawili, plądrowali najwidoczniej w rękawiczkach i byli doskonale poinformowani o wewnętrznym rozkładzie gmachu.

Z przeprowadzonej inwentaryzacji wynikało, że łupem włamywaczy padło dwadzieścia siedem cennych eksponatów. Ponieważ większość z nich stanowiły unikaty sztuki złotniczej z epoki średniowiecza i renesansu, trudno było nawet określić ich materialną wartość. Były po prostu bezcenne. Na jakie bowiem pieniądze przeliczyć na przykład relikwiarz świętej Jadwigi, żony Henryka Brodatego, a matki Henryka Pobożnego, który zginął pod Legnicą w bitwie z Tatarami? Prócz wartości zabytkowej była to bezcenna pamiątka historyczna.

W protokole milicyjnym wszystko musi być wymierne. Nie ma tam pojęcia „bezcenne". Dlatego też straty oszacowano na trzysta pięćdziesiąt tysięcy złotych, chociaż dla nikogo nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że eksponaty te wywiezione za granicę, na przykład do Stanów Zjednoczonych, uzyskałyby tam podobną sumę, tylko że w dolarach.

Popełniłem wtedy podstawowy — powiedział mój przyjaciel — szkolny błąd, jakiego oficer dochodzeniowy nigdy nie powinien się dopuścić. Oto założyłem, że kradzieży dokonała międzynarodowa szajka włamywaczy lub też naszych krajowych specjalistów, którzy działali na zamówienie z zagranicy. Oparłem się przy tym na zeznaniach pracowników muzeum, że w ostatnich czasach gmach był odwiedzany przez licznych cudzoziemców. Niektórzy z nich wielokrotnie zwiedzali muzeum i całymi godzinami studiowali zbiory sztuki złotniczej. Nabrałem pewności, że to ci ludzie pokusili się o zdobycie cennych eksponatów. A włamania dokonali sami lub też przy pomocy opłaconych „fachowców".

— Tak by to wyglądało — przyznałem.

— Właśnie z pozoru tylko tak wyglądało i ja z uporem maniaka trzymałem się swego założenia, do którego naginałem całe dochodzenie. Nie chcę się usprawiedliwiać, bo i po co? W końcu sprawcy włamania zostali ujęci. Na pewno nastąpiłoby to dużo szybciej, gdyby nie mój błąd i gdybyśmy już wtedy rozporządzali takimi precyzyjnymi aparatami, jakie mamy teraz. Wtedy nie można było po zbadaniu zamka stwierdzić, czy otworzono go podrobionym kluczem czy wytrychem. Dziś takie badanie to dla nas dziecinna zabawka. Gdybyśmy mieli te możliwości w 1956 roku i od razu stwierdzili, że do tych zamków nikt nie usiłował podrobić kluczy ani ich otworzyć wytrychami, kto wie, czy dochodzenie nie poszłoby innym, właściwszym torem. Chociaż i tak nie odzyskalibyśmy większości najcenniejszych przedmiotów.

Dochodzenie od początku utknęło na martwym punkcie. Jakkolwiek Polska nie jest członkiem Interpolu, to jednak w wyjątkowych wypadkach milicja współpracuje z tą organizacją przede wszystkim w walce z takimi przestępstwami jak handel narkotykami, podrabianie pieniędzy i właśnie kradzieże zabytkowych dzieł sztuki. Zawiadomiono więc Interpol o kradzieży. Jednocześnie w kraju podjęto szeroką akcję poszukiwawczą. Sprawdzono setki a nawet tysiące nazwisk cudzoziemców, którzy w tym czasie przebywali w naszym kraju. Na granicy zaostrzono czujność. Obserwowano prywatnych jubilerów i handlarzy antykami oraz srebrem. Jak to zwykle bywa, przy tego rodzaju akcjach, wykryto wiele innych, nieraz poważnych przestępstw. Niestety nie udało się znaleźć żadnej najmniejszej poszlaki, która pozwoliłaby na skierowanie dochodzenia w prawidłowym kierunku. Nigdzie na świecie — mieliśmy te dane z Interpolu — tego rodzaju przedmioty srebrne nie pojawiły się w sprzedaży. Muzeum, na szczęście, rozporządzało nie tylko ich szczegółowymi opisami, lecz także i zdjęciami fotograficznymi.

Po paru miesiącach bezskutecznych dochodzeń prokurator umorzył śledztwo, akta powędrowały do archiwum, do działu „spraw nie wykrytych".

Wtedy — przyznał Krzyżewski — tłumaczyłem swoją porażkę tym, że srebra zostały skradzione na zlecenie jakiegoś zagranicznego, bogatego kolekcjonera i natychmiast wywiezione z kraju. Przecież włamywacze mieli na to aż dwa dni: niedzielę i poniedziałek. Kradzież ujawniono dopiero we wtorek 29 maja, w godzinach rannych, zaś milicję zaalarmowano około południa. Wystarczyło im więc czasu, żeby bezcenne eksponaty wywieźć z kraju, wylądować z nimi gdzieś na drugiej półkuli i ulokować u jakiegoś bogatego kolekcjonera, który nie musiałby ich od razu sprzedawać. Teraz, po tylu latach, kiedy jestem mądrzejszy i niestety dużo starszy, wiem, że powzięte „przy zielonym stoliku" postanowienie, żeby wśród takich ludzi szukać bezpośrednich lub pośrednich sprawców przestępstwa, było tym fatalnym błędem. Dopiero znacznie później okazało się, że sprawa była prosta, początkowo jednak nie mogliśmy jej nie tylko rozwiązać, ale nawet ruszyć z miejsca. Jeszcze raz, z żelazną konsekwencją potwierdziła się stara zasada kryminalistyki, iż prowadzący dochodzenie musi je prowadzić wszechstronnie, gromadzić wszelkie poszlaki i uważać wszystkich za podejrzanych, nie zaś najpierw zaczynać od teorii i do niej naginać swoje dochodzenie.

Tak więc zakończyła się pierwsza część tego niefortunnego śledztwa. Poniosłem dotkliwą porażkę — powtórzył podpułkownik Krzyżewski — i... niczego się z niej nie nauczyłem. Niedługo przyszło czekać, abym powtórzył stare błędy.

Rozdział III

Feralna trzynastka

— Pamiętam, jakby to było dzisiaj. Czwartego marca 1957 roku — opowiadał Adam Krzyżewski — siedziałem w swoim pokoju w gmachu Komendy Wojewódzkiej. Zajmowałem się akurat sprawą szajki włamywaczy, którzy wyspecjalizowali się w okradaniu sklepów spółdzielczych. Przede wszystkim tych z towarami włókienniczymi. Technika włamań, zresztą bardzo prymitywna, polegająca na ukręcaniu łomem kłódek i wyważaniu drzwi za pomocą tego samego łomu, wskazywała, że liczne kradzieże są dziełem jednej, kilkuosobowej grupy przestępczej. Częściowo ustaliliśmy rysopisy poszczególnych włamywaczy i byliśmy na ich tropie. Wtedy właśnie otrzymałem telefon, który sprawił, że dochodzenie przeciwko złodziejom sklepowym przekazałem innemu koledze. Telefonował oficer dyżurny:

— Słuchaj, Adam — powiedział — w tej chwili dostałem wiadomość, że do Muzeum Śląskiego znowu włamali się złodzieje i skradli kilkanaście bezcennych obrazów. Ponieważ prowadziłeś poprzednio dochodzenie w sprawie tych sreber, może cię to zainteresuje?

— To znowu był wtorek. Pechowy dzień dla muzeum i dla mnie. Przecież przed dziesięcioma miesiącami kradzież także wykryto we wtorek. Nie minęło ani piętnaście minut, kiedy wysiadałem z milicyjnej „warszawy" przed gmachem Muzeum Śląskiego. Tutaj już pracowała grupa operacyjna. Pobiegłem na górę, na drugie piętro. W salach malarstwa polskiego nie potrzebowałem nawet pytać, co się stało. Na wielu ścianach wisiały puste ramy. Pracownicy muzeum, którzy znali mnie z poprzedniego dochodzenia, podali mi wykaz skradzionych trzynastu obrazów. Właśnie tych najcenniejszych z całej kolekcji. Zniknęły ze ścian następujące dzieła sztuki:

Sejm w Gąsowie — Jan Matejko
Wjazd Walczego do Krakowa — Jan Matejko
Konrad Wallenrod — Jan Matejko
Portret Pleszowej — Jan Matejko
Studium portretu — Jan Matejko
Portret Jana Matejki — Stanisław Dębicki
Polowanie w Polużycy — Juliusz Kossak
Autoportret — Henryk Rodakowski
Hamlet — Aleksander Gierymski

Portret Sarneckiej — Andrzej Grabowski
Karol V — Wilhelm Leopolski
Miecznik i Wacław — Leon Kapliński
Portret Wandy Mone — Franciszek Streitt

Technika kradzieży nie różniła się niczym od poprzedniej. I tym razem wszystkie zamki były nie naruszone, ani śladu odcisków palców — złodzieje operowali w rękawiczkach. Dochodzenie ustaliło jedynie, że w jednej z sal Galerii Malarstwa Polskiego okno nie było zamknięte, lecz tylko przymknięte. We wnęce, w której znajdowało się okno, na podłodze wykryto drobne grudki błota. Po zewnętrznej stronie muru, w bardzo bliskiej odległości od okna, biegła stalowa linka instalacji odgromowej, tynk zaś na murze pod oknem był nieco zarysowany. Nie opodal tego miejsca znaleziono także sznur, jaki zazwyczaj służy do wieszania bielizny.

Tak więc obrazy z gmachu muzeum wyniesiono właśnie tą drogą, przez okno, by je przetransportować samochodem, który — jak wynikało ze znalezionych w pobliżu śladów — musiał tu stać długo.

Ciekawe, że część obrazów od razu w muzeum wyjęto z ram. Inne spuszczono na dół razem z ramami, ale ramy te zostały porzucone niedaleko gmachu Muzeum Śląskiego, w parku nad Odrą. Ramy te znalazł tam jeden z mieszkańców Wrocławia i zabrał do swojego domu. Obywatel ten dowiedział się z gazet o włamaniu do muzeum i natychmiast zgłosił się do milicji wraz z ramami. Badania daktyloskopijne ujawniły na ramach tylko odciski palców znalazcy. Ramy zwróciliśmy muzeum. Teraz trzeba było odnaleźć jeszcze płótna, które z nich wyjęto. To się okazało znacznie trudniejszym zadaniem.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że jednej i drugiej kradzieży dokonała ta sama banda, która dwukrotnie posłużyła się tą samą techniką. Fakt, że ginęły wybitne dzieła sztuki, jeszcze bardziej utwierdził mnie w przekonaniu, iż mamy do czynienia z bandą międzynarodową lub przynajmniej z zagraniczną dyspozycją dokonania tych kradzieży. Może zresztą „zamówiono" tylko srebra, a banda zachęcona łatwą zdobyczą, pracowała już za drugim razem na własny rachunek? Nie było przecież w kraju żadnych możliwości spieniężenia takiego łupu.

Eksperci wycenili, że skradzione obrazy są warte na rynkach międzynarodowych co najmniej trzysta tysięcy dolarów. Według obliczeń szacunkowych „Desy" wartość krajowa tych płócien wynosiła najmniej około 600 000 złotych. Muzeum ze swej strony oceniało swoją stratę na 535 000 złotych. Taką kwotę wpisano do protokołu milicyjnego.

Sprawa nabrała rozgłosu w całym kraju i obniżyła nieco prestiż miejscowej milicji. Oto w ciągu niecałego roku dwa razy giną ogromne skarby kultury, a milicja jest bezradna — nie ma najmniejszych danych o przestępcach.

Wywiezienie z kraju tylu i to o sporych rozmiarach obrazów na pewno nie było dla złodziei łatwym zadaniem.

Znowu za pośrednictwem Interpolu komunikaty i zdjęcia skradzionych obrazów dotarły do wszystkich prawie państw świata, a przede wszystkim do punktów granicznych tych państw. Uprzedzono również wszystkich handlarzy obrazów o kradzieży we Wrocławiu. Te zarządzenia sprawiły, że „towar" stracił dla złodziei swoją wartość handlową. Był zbyt niebezpieczny, żeby ktokolwiek, a zwłaszcza międzynarodowi marszandzi mogli się nim zainteresować.

Najbliższe tygodnie zdawały się potwierdzać słuszność mojej teorii. Przestępcza szajka zorientowała się najwidoczniej, że wywiezienie i sprzedaż tych dzieł sztuki napotka ogromne trudności, więc postanowiła w inny sposób swój łup spieniężyć. Oto w pierwszej połowie kwietnia 1957 roku sprawcy kradzieży wysłali na adres Ministerstwa Kultury i Sztuki w Warszawie list anonimowy, podpisany kryptonimem „K-44", w którym zawiadamiali, że są w posiadaniu tych dzieł sztuki i gotowi są je zwrócić w zamian za wypłacenie im okupu w wysokości dwóch milionów złotych. List był nadany z Poznania. Zwykła niebieska koperta, wewnątrz kartka papieru napisana dru-

kiem technicznym. Oczywiście żadnych odcisków palców nie znaleziono. Pismo wskazywało, że autorem jego musi być człowiek z wykształceniem technicznym. Zarówno w Poznaniu, jak i we Wrocławiu pracuje i mieszka tysiące ludzi o podobnym fachu.

Autor czy też autorzy listu bardzo dowcipnie zapewnili sobie odpowiedź. Oto w „Expressie Wieczornym", w dziale drobnych ogłoszeń, miał być zamieszczony anons o przyjęciu tych propozycji.

Ministerstwo Kultury i Sztuki natychmiast przekazało list Komendzie Głównej MO, stamtąd zaś przesłano pismo do Wrocławia. Po naradzie, w której brali udział również przedstawiciele Muzeum Śląskiego i Ministerstwa Kultury i Sztuki, postanowiono pozornie przyjąć propozycje złodziei, to jest odpowiedzieć na ofertę. W ten sposób zyskiwało się na czasie, a także w najgorszym razie, gdyby dochodzenie nie dało nadal żadnych rezultatów, wytargować zmniejszenie okupu.

Zgodnie więc z żądaniem przestępców, w dniu 15 kwietnia 1957 roku w „Expressie Wieczornym" ukazał się drobny anons, że w zasadzie propozycje są przyjęte, ale kwota wydaje się zbyt wysoka. Poza tym brakuje pewności, czy nadawcy listu rzeczywiście dysponują skradzionymi obrazami.

Złodzieje dali się złapać na ten haczyk. W dniu 28 kwietnia 1957 roku nieznany mężczyzna zdeponował na Dworcu Głównym w Poznaniu w przechowalni bagażowej używaną, niezbyt ciężką walizkę. Otrzymał kwit bagażowy Nr 78935. W dwa dni później do Ministerstwa Kultury i Sztuki nadszedł nowy list. Taka sama niebieska koperta, takie samo pismo techniczne. Jako załącznik figurował wyżej wymieniony kwit. List zawiadamiał, że w przechowalni bagażu w Poznaniu znajduje się obraz Stanisława Dębickiego „Portret Jana Matejki" i że można go odebrać za załączonym kwitem.

Pracownicy Komendy Głównej MO w dniu 3 maja odebrali przechowywaną w Poznaniu walizkę i rzeczywiście znaleźli w niej owinięty w bandaże i watę „Portret Jana Matejki". Jeden obraz wrócił więc do Muzeum Śląskiego. W rękach złodziejskiej szajki pozostało jeszcze dwanaście płócien.

Ten drugi list do ministerstwa zawierający informację i kwit bagażowy został także nadany w Poznaniu. Natomiast trzeci list, który również otrzymało ministerstwo, nosił stempel jednego z urzędów pocztowych we Wrocławiu. Tym razem list był pisany na maszynie. Złodzieje potwierdzają żądanie okupu w sumie dwóch milionów złotych. Komunikują, że dalsze pertraktacje będą prowadzili bezpośrednio z dyrekcją Muzeum Śląskiego i proszą ministerstwo, aby upoważniło dyrekcję tegoż muzeum do wypłacenia im żądanej kwoty. Poczta ostemplowała ten list datą 10 maja 1957 roku.

Po upływie pięciu dni, a więc 15 maja, dyrekcja muzeum otrzymała kolejny list. Był to już czwarty, wysłany przez złodziei, a pierwszy bezpośrednio do Muzeum Śląskiego. To pismo również sporządzone zostało na maszynie i podpisane kryptonimem „K-44" tak jak i pierwsze do ministerstwa. Złodzieje zawiadamiali, że gotowi są rozłożyć dwumilionowy okup na cztery raty po 500 000 złotych. Odpowiedź tym razem miała być umieszczona nie w dzienniku warszawskim, lecz w miejscowej prasie, w „Słowie Polskim".

Milicja starała się nadal prowadzić pertraktacje, żeby móc wygrać na czasie. Dopóki bowiem trwała ta korespondencja, obrazy na pewno pozostawały w kraju. Muzeum odpowiedziało więc ogłoszeniem w „Słowie Polskim", że kwota okupu jest za wysoka. Dwóch milionów muzeum nie jest w stanie wypłacić, natomiast jest skłonne wykupić obrazy, jeżeli ich cena zostanie odpowiednio zmniejszona.

Złodzieje zaakceptowali tę propozycję i w liście z 23 maja zgodzili się wydać pozostałe dwanaście obrazów za sumę jednego miliona złotych.

W dniu 26 maja „Słowo Polskie" zawiadamiało, że muzeum może wypłacić za obrazy 600 000 złotych. W dwa dni później nadszedł szósty list podpisany „K-44" z odpowiedzią o zerwaniu pertraktacji.

Dyrekcja Muzeum Śląskiego w dniach

15, 16 i 19 czerwca oraz w dniach 14, 16, 18 lipca poprzez „Słowo Polskie" proponowała wznowienie rozmów, ale złodzieje już się więcej nie odezwali. Wprawdzie dwukrotnie ktoś telefonował w tym czasie do muzeum, że jest gotów się spotkać i porozmawiać o skradzionych obrazach, ale w wyznaczonym terminie i w umówionym miejscu nikt się nie stawił.

Nagłe przerwanie korespondencji dało wiele do myślenia. Zachodziła uzasadniona obawa, że to właśnie złodzieje „wykiwali" dyrekcję muzeum i milicję. Oni także prowadzili pertraktacje z myślą o zyskaniu na czasie, o tym, żeby przygotować sobie bezpieczną drogę przerzutu obrazów za granicę. Kiedy już tego dokonali, zerwali rozmowy.

A przecież milicja nie próżnowała. Dochodzenie prowadzono z ogromną energią i na bardzo szeroką skalę.

Specjalne ekipy milicyjne udały się na Targi Poznańskie, które ściągają do Poznania nie tylko przedstawicieli firm zagranicznych i bogatych cudzoziemców, ale też i różnych krajowych kombinatorów usiłujących przy okazji robić tu dobre interesy. Wywiadowcy szukali w Grodzie Przemysława kogoś, kto będzie oferował cudzoziemcom nabycie cennych płócien.

Ten trop nawet był dobry. Paru cudzoziemców przyznało, że kręcił się koło nich jakiś młody człowiek proponując różne, rzekomo zyskowne, interesy. Między innymi, w sposób zresztą bardzo zawoalowany, mówił o tym, że mógłby pośredniczyć w transakcji kupna — sprzedaży bardzo cennych obrazów. Ale oni na handlu z Polską robili dużo lepsze i dużo pewniejsze interesy niż te, jakie im młody człowiek proponował. Nic więc dziwnego, że ci cudzoziemcy w grzeczny, ale stanowczy sposób spławiali natręta. Niestety słabo pamiętali, jak wyglądał. Tyle tylko, że był szatynem dość tęgim, średniego wzrostu. Takich ludzi jest w Polsce co najmniej milion. Szukaj wiatru w polu, tym bardziej że właściwie nie było najmniejszego dowodu, iż chodzi tu o obrazy skradzione we Wrocławiu. Gdyby się nawet udało odnaleźć tego osobnika, trudno byłoby o jakiś obciążający go dowód. Mógł się przyznać, że usiłował wtrynić „frajerom" z Zachodu obrazy choćby z warszawskiej „Desy".

Inny ślad okazał się bardziej interesujący. W tym czasie do Polski często przyjeżdżał pewien zagraniczny gość, Polak z pochodzenia, o arystokratycznym nazwisku, posiadacz paszportu marokańskiego. Był to hrabia, który usiłował w Warszawie robić różne interesy. Najczęściej stały one na pograniczu kodeksu karnego. Wiodło mu się chyba nieźle, bo mieszkał w najdroższym hotelu. Stały bywalec nocnych lokali przebywał często w towarzystwie panienek, które zwykły swoje uczucia i łaski wyceniać w tak zwanych „wymienialnych walutach".

Nasz hrabia interesował się także handlem dziełami sztuki. Między innymi zwracał się do odpowiednich władz o uzyskanie zezwolenia na zakup w „Desie" i pozwolenie wywozu za granicę różnych obrazów. Na wywóz niektórych z nich takie pozwolenie rzeczywiście zostało wydane. Marokański obywatel chwalił się także, że proponowano mu kupno obrazów wrocławskich, ale on jako polski patriota tę propozycję ze wstrętem odrzucił.

Trudno dzisiaj stwierdzić, czy były to przechwałki czy też rzeczywiście ktoś mu proponował tego rodzaju transakcję. W pewnym momencie pan hrabia znikł z Warszawy. Podobno sporo ludzi trochę za późno przekonało się, że ich nabrano na dość poważne kwoty. W każdym razie i tutaj milicji nie udało się dowiedzieć niczego konkretnego.

Z Interpolu nieodmiennie nadchodziły informacje, że nigdzie, w żadnym państwie, nie natrafiono na ślad skradzionych we Wrocławiu dzieł. Żaden z wielkich, międzynarodowych handlarzy dziełami sztuki, a wyłącznie tacy mogli wchodzić w grę przy sprzedaży takiej ilości i tak cennych płócien, nie słyszał nawet o tym, żeby ktoś oferował te srebra lub obrazy.

Przeczyło to moim przypuszczeniom — mówił dalej podpułkownik Krzyżewski —

uważałem bowiem, że srebra zostały od razu sprzedane i wywiezione za granicę, a złodzieje zasmakowawszy w tej robocie ponownie ogołocili Muzeum Śląskie, interesując się tym razem obrazami.

— Które już może zdążyli wywieźć — przerwałem przyjacielowi.

— Braliśmy i to pod uwagę, ale byłem optymistą. Przecież nadal na wszystkich punktach granicznych prowadzono bardzo ścisłą kontrolę. Dwanaście wielkich płócien to nie banknot studolarowy, który można przewieźć w skarpetce czy zgnieciony w małą kulkę w ręku. Jakiekolwiek wtedy popełniałem błędy, to jednak rozumowałem słusznie. Prędzej czy później sprawa musi ruszyć z miejsca. W końcu i przestępca zrobi błąd, który pozwoli na zdemaskowanie go. Dopóki bowiem te obrazy pozostają w kraju, są one dla złodziei bez wartości. Przy próbie sprzedaży lub wywozu ktoś z nich musi wpaść w nasze ręce.

Zanim to jednak nastąpiło — powiedział ze smutkiem Adam — poczułem po raz drugi gorzki smak porażki. Ponieważ w dotychczasowym dochodzeniu nie udało się ustalić sprawców kradzieży, prokurator powiatowy dla miasta Wrocławia postanowieniem z dnia siódmego czerwca 1957 roku postępowanie w tej sprawie umorzył.

Zapanowała chwila milczenia.

— To była zwykła formalność — uśmiechnął się podpułkownik — przecież nadal mieliśmy na sercu obie ważne sprawy. Wracałem do nich w każdej chwili wolnej od innych zajęć, bardzo głęboko bowiem przeżyłem tę decyzję prokuratora. Już wtedy mogłem poszczycić się różnymi poważnymi sukcesami, które odniosłem w sprawach bardziej skomplikowanych. A tu dwa kolejne tak dotkliwe niepowodzenia. Ale cóż robić? Mylimy się i błądzimy. Trzeba się było pogodzić z losem i czekać. Umiejętność czekania jest bardzo ważną cechą oficera dochodzeniowego. Toteż cierpliwie czekałem.

Aż wreszcie doczekałem się dnia, w którym wszystkie moje piękne teorie zostały rozbite w proch i pył. Na szczęście jednak sprawy kradzieży dzieł sztuki posunęły się od razu siedmiomilowym krokiem naprzód.

Rozdział IV

„Złota rączka"

— Każde większe miasto ma swój margines społeczny. Składają się nań zwykli chuligani, złodzieje, wydrwigrosze i różnego pokroju ludzie brzydzący się pracą, którzy nigdy w swoim życiu nie splamili ręki złożeniem podpisu na liście płac. Płeć piękną reprezentują tutaj prostytutki, począwszy od tych urzędujących w wytwornych lokalach, a kończąc na takich, które łapią pijanych gości przed dworcem oraz przeróżne „handlary" krążące po bazarach i po tak zwanym ręczniaku, gdzie towar sprzedaje się z ręki do ręki.

Arystokrację tej sfery ludzi stanowili dawniej kasiarze, włamywacze i paserzy. Dzisiaj po słynnych kasiarzach mozolnie podkopujących się pod banki i precyzyjnie otwierających pancerne sejfy pozostała tylko legenda. Wiadomo — zabrakło sejfów, a w nielicznych dziś, przetrwałych kasach pancernych urzędnicy częściej trzymają drugie śniadanie niż pieniądze. Fach włamywacza także zszedł na psy. Masówka zabiła sztukę. Gdzież są ci dawni specjaliści i ich wyrafinowane skoki „na parasol", „na parawan" lub „metro". Nawet robota „na pasówkę" znika już z kronik milicyjnych. Nowi adepci złodziejskiego fachu nie chcą tracić czasu na naukę zawodu. „Szkoły złodziejskie", z których sławna była przed wojną przede wszystkim Warszawa i Łódź, dawno zniknęły z powierzchni ziemi. Współczesna młodzież wchodząca do „zawodu" zadowala się robotą „na chama" — łomem lub drągiem.

W wielkich miastach ludzie ci trzymają się razem. Osiedlali się z reguły w najbardziej zaniedbanych dzielnicach. W

miarę zaś rozbudowy metropolii miarowo wycofywali się na jej obrzeże. Zawsze jednak w pobliżu takich skupisk jak bazary czy wielkie targowiska. Dla przykładu można wziąć Warszawę. Przed wojną takimi dzielnicami lumpenproletariatu były głównie oba Targówki, bo to bazar na Stalowej pod bokiem, a do Bazaru Różyckiego także niedaleko. Po drugiej stronie miasta ludzie z tego środowiska gromadzili się na Czerniakowie i na dalekiej Ochocie w pobliżu słynnego „zieleniaka". Bazary spełniały wielorakie funkcje. Można tu zawsze było spotkać się z kolesiami i skrzyknąć na jakiś nowy „skok". Tu czekali paserzy, którym się upłynniało towar. Mniejsze łupy handlarki sprzedawały na „ręczniaku". Tu wreszcie, jeśli już bieda zbyt mocno przycisnęła można było dorywczą pracą, choćby przy przeładunku owoców i zieleniny, zarobić na ćwiartkę.

Po wojnie, gdy te przedmieścia Warszawy objęto planem intensywnej rozbudowy, a na Bródnie, Targówku czy Ochocie lub Czerniakowie zaczęły wyrastać całe kolonie „drapaczy chmur" zasiedlanych przez klasę robotniczą czy inteligencję pracującą, ludzie tego marginesu społecznego często nie przyjmując nowoczesnych mieszkań ofiarowywanych im w zamian za burzone rudery, wycofali się aż na krańce stolicy. Przede wszystkim na linię kolejki mareckiej, osiedla od Ząbek po Wołomin czy też miejscowości położone wokół kolei otwockiej.

Ta prawidłowość występuje zresztą we wszystkich większych skupiskach ludzkich z wyjątkiem Wrocławia.

Wrocław to bardzo dziwne miasto. Zasiedlane w miarę napływu ludności polskiej do domów, z których uciekli Niemcy, złamało tę prawidłowość. Tutaj także napływający robotnicy zajęli dawne dzielnice robotnicze. Inteligencja i „inicjatywa prywatna" wolała dzielnice willowe, takie jak Oporów, Zalesie, Krzyki. Omijano raczej śródmieście jako najbardziej zniszczone. A jednocześnie wielkie targowiska i bazary powstały właśnie w centrum, jak słynny „szaber-plac" mieszczący się tuż za mostem Grunwaldzkim, czy też plac Nankera będący chyba środkiem miasta.

Nic więc dziwnego, że wrocławski „margines" ulokował się właśnie tutaj, w samym „city". Znany kryminolog, Zbigniew Bożyczko, autor książki „Kradzież z włamaniem i jej sprawcy", bardzo dokładnie umiejscowił rejon miasta, który stał się ulubionym punktem zamieszkania tej grupy ludności. Była to dzielnica śródmieścia otoczona ulicami Pomorską, Słowiańską, Jedności Narodowej, Nowowiejską, Piastowską, Kolejową i Tęczową. Cały ten obszar w gwarze milicyjnej często bywał nazywany „wesołym miasteczkiem".

Odbudowa i przebudowa Wrocławia poczyniła wielkie szczerby w „towarzystwie", które obrało sobie te dzielnice za teren działalności i zamieszkania. Po targowisku na placu Nankera pozostały wspomnienia, a na „szaber-placu" wyrosły gmachy politechniki i domy akademickie. Wtedy jednak, w latach 1950 — 1960, „wesołe miasteczko" przeżywało swój najbujniejszy rozkwit.

W tym to „wesołym miasteczku", w latach 1956—59, przy jednej z ulic, bodajże ulicy Psie Budy, zamieszkiwał Ryszard, nazwijmy go Wiącek, bo pod takim właśnie nazwiskiem pani Wanda Falkowska opisała w „Pitawalu Wrocławskim" jego późniejsze wyczyny. Na razie jednak, w epoce kiedy Muzeum Śląskie zostało aż dwukrotnie ograbione z cennych dzieł sztuki, Ryszard Wiącek był znany jedynie miejscowemu dzielnicowemu jako pijak i awanturnik. O paragrafy kodeksu karnego jeszcze się nie zdążył otrzeć.

Młody człowiek chodził niegdyś do szkoły zawodowej, ale nauka szybko przestała go interesować. Te trochę wiedzy, którą liznął w szkole i wrodzona „smykałka" do majsterkowania zdobyła mu przezwisko „Złota Rączka" i popularność w całej dzielnicy. Kiedy się zepsuł zlew, ktoś zgubił klucze i nie mógł się dostać do własnego mieszkania, czy też miał kłopoty z elektrycznością lub dopasowaniem nie zamykających się okien, biegł jak w dym do „Złotej Rączki" —

Wiącek wszystko szybko i sprawnie naprawiał za parę groszy.

Tylko takich robót Rysio się chętnie podejmował. Stała praca jakoś się nigdy go długo nie trzymała. Dewizą młodego człowieka było „szybko zarobić i szybko przepić". Do alkoholu czuł bowiem dziedziczny pociąg, bo i starszy pan Wiącek znany był w pijackich kołach jako niezgorszy kizior.

Rysiek wcześnie się usamodzielnił, ożenił w bardzo młodym wieku i opuszczając rodzinny dom seniora Wiącka osiadł przy ulicy Psie Budy.

Tego rodzaju osobnicy nie są stworzeni do zakładania rodziny i przykładnego pożycia małżeńskiego. Więc i małżeństwo Ryszarda Wiącka od samego początku nie układało się tak, jak powinno. Ciągłe kłótnie wkrótce przerodziły się w awantury, te zaś zazwyczaj kończyły się bójką. A właściwie nie tyle bójką, ile pobiciem przez Ryśka żony, która nieraz musiała się salwować ucieczką do najbliższych sąsiadów.

Liczne „rozróby" małżeńskie rodziny Wiącków nie robiły już wrażenia na sąsiadach. W tej dzielnicy i w tej sferze nie były one żadnym wyjątkiem. Bicie żony uważano za pewien rodzaj rozrywki lub nawet za dowód miłości ze strony męża. „Gdyby jej nie kochał, toby jej nie bił, tylko wziął babę za łeb i wyrzucił z domu albo po prostu ukatrupił" — taką filozofię wyznawano na Psich Budach i w całym „wesołym miasteczku".

Jednakże w styczniu 1959 roku Ryszard Wiącek, nawet jak na stosunki panujące w jego miejscu zamieszkania, przebrał miarę. Wrócił do domu kompletnie urżnięty i jak później zeznali sąsiedzi „widział wszystko na czerwono". Doszło do kłótni małżeńskiej, po czym Ryszard wziął się do bicia żony. Tym razem nie skończyło się na kilku kułakach. Wiącek wpadł w pijacką furię, łamał sprzęty i nimi walił swoją „ołtarzową".

Kobieta na próżno wzywała pomocy. Żaden z sąsiadów nie ruszył nawet palcem w bucie. Wiadomo, nie należy się wtrącać w cudze sprawy. Pobili się, to się i pogodzą! Wreszcie jakimś cudem Wiąckowa zdołała się wyrwać z rąk brutala i uciekła do sąsiadów. Wiącek musiał najpierw dokończyć dzieła, zdemolował więc doszczętnie mieszkanie, potłukł wszystko, co tylko było do potłuczenia i znowu przypomniał sobie o połowicy. Ruszył na jej poszukiwanie. Słusznie przypuszczając, że jak zwykle musiała się schronić do sąsiadów na pierwszym piętrze, wdrapał się na schody i rozpoczął próby wyważenia drzwi. Przy okazji nie żałował wyzwisk i wojowniczych okrzyków zarówno pod adresem ślubnej małżonki, jak też i złośliwego sąsiada, który tak mu utrudniał miłą rozrywkę.

Na Psich Budach lokatorzy zaopatrują swoje mieszkania w solidne, wejściowe drzwi. Porzekadło „mój dom jest moją twierdzą" tutaj ma swoje życiowe uzasadnienie. Usiłowania „Złotej Rączki" okazały się zatem bezskuteczne.

Trzeba przyznać, że pani Wiąckowa ukryta za grubymi, solidnie zamkniętymi drzwiami, gdzie czuła się całkowicie bezpieczna, nie pozostała dłużna małżonkowi w obelgach i wyzwiskach.

Małżeński dialog prowadzony przez drzwi rozwijał się i ożywiał coraz bardziej ku zadowoleniu już nie tylko całej kamienicy, ale nawet mieszkańców sąsiednich domów i przypadkowych przechodniów, którzy przystawali przed bramą.

Wśród argumentów używanych przez panią Ryszardową padło ciekawe zdanie: „Ty złodzieju, wszystko powiem jak na świętej spowiedzi. O tym srebrze coś je ukradł". Potem jeszcze Wiąckowa prorokowała swojemu małżonkowi, że „zgnije w więzieniu". Trzeba przyznać, że to proroctwo dziwnie się sprawdziło, ale o tym potem.

Dalszy ciąg, jakże interesującego widzów tego przedstawienia teatralnego, przerwał patrol milicji. Naturalnie nikt milicji tutaj nie wzywał, taki postępek byłby sprzeczny z obyczajami mieszkańców Psich Bud. Nawet kiedy stosunkowo niedawno na tej samej ulicy zamordowano człowieka, to i wtedy uważano, że dla takiego głupstwa nie warto fatygować przedstawicieli MO, ale milicja znała mieszkające tu towarzystwo i liczne patrole przemierzały „wesołe miasteczko" dzień i noc bez przerwy. Je-

den z takich patroli natknął się na awanturę małżeńską. Dalszy rozwój wypadków potoczył się błyskawicznie. Ryszard Wiącek pojechał na wytrzeźwienie do aresztu, zaś jego małżonka bezpiecznie wróciła do całkowicie zdemolowanego mieszkania, nie przestając wykrzykiwać o skradzionym srebrze i czarnym losie, jaki czeka męża.

Na słowa „srebro" i „obraz" milicja wrocławska była specjalnie wyczulona. Przecież te dwie nie wykryte sprawy o ogólnopolskim zasięgu kładły się ciemną plamą na zaszczytnej historii MO w mieście nad Odrą. Dowódca patrolu natychmiast zameldował o wszystkim w Komendzie Wojewódzkiej, a nazajutrz Ryszard Wiącek po wytrzeźwieniu znalazł się u mnie w pokoju. Wtedy jeszcze byłem kapitanem — uśmiechnął się Krzyżewski.

Po wstępnych formalnościach i ustaleniu personaliów Wiącek długo mi opowiadał o swoim nieszczęśliwym pożyciu małżeńskim i udawał skruchę za wywołanie zbiegowiska i pobicie żony.

— Ale ona skargi nie złożyła? — dopytywał się. Doskonale wiedział, że sprawa o pobicie żony może być wszczęta wyłącznie na wniosek poszkodowanej.

— Nie złożyła — potwierdziłem.

— Już jej więcej palcem nie tknę. A od poniedziałku idę do pracy. Z gołdą także koniec — „Złota Rączka" obiecywał poprawę.

— Bardzo mnie to cieszy — udawałem, że przyjmuję te zapewnienia za dobrą monetę.

— To pan kapitan mnie zwolni?

— Zwolnię. Ale co się wam Wiącek tak spieszy? Chciałbym jeszcze z wami pogadać. Wiecie o czym?

— Ja nic nie wiem.

— O srebrze nic nie wiecie?

— Jakim srebrze, panie inspektorze?

— Nie pamiętacie, jak żona wczoraj mówiła, żeście ukradli srebro?

— Plotła, głupia, co jej ślina na język przyniesie. Teściowa była mi winna pieniądze za odmalowanie mieszkania i nie chciała płacić. Wtedy zabrałem jej cukiernicę. Jakie to tam było srebro! Zwykła blacha posrebrzana. Chciałem to sprzedać, żeby mi się chociaż za farby wróciło, ale na placu Nankera nikt nawet pięćdziesięciu złotych nie chciał dać.

— A gdzie ta cukiernica?

— Nie pamiętam! Może leży gdzieś w domu, a może w złości ją wyrzuciłem.

— Zapytamy żonę i teściową, jak to było z tą cukiernicą.

— Na pewno obie potwierdzą. Z teściową potem się pogodziłem. Nie było się o co wadzić.

— No w porządku. Macie rację, że to głupstwo. W takim razie już mogę was zwolnić, ale przedtem powiedzcie mi, gdzie pracuje wasz ojciec?

— Mój ojciec? — Wiącek zbladł, jak gdyby wielki kamień zwalił się na jego głowę. Cios był celny.

— Właśnie, wasz ojciec.

— Bo ja wiem? Ja z ojcem nie utrzymuję żadnych stosunków. Bił mnie, jak byłem dzieckiem, wygnał z domu.

— Dawno już zerwaliście rodzinne stosunki?

— W 1955 roku — wypalił Wiącek bez namysłu.

— To smutne. A wtedy gdzie ojciec pracował?

— Już nie pamiętam.

— Przypomnijcie sobie.

— Bo ja wiem?

— To może ja wam pomogę. Był i jest intendentem gmachu Muzeum Śląskiego. Zgadza się? Przypomnieliście sobie?

— Jeżeli pan inspektor mówi, to pewnie tak jest.

— Intendentem gmachu muzeum, z którego skradziono w 1956 roku srebro.

— Skąd o tym mogę wiedzieć?

— Nie słyszeliście o tej kradzieży? Cała prasa o tym pisała. Mówili w radio.

— Ja nic nie wiem.

— No cóż, jak nie wiecie, nie będziemy dłużej rozmawiali. Wrócicie na dół, przemyślicie całą sprawę, może wam pamięć dopisze. Szczere przyznanie się do wszystkiego sąd uważa za okoliczności, które wpływają na wymiar kary. Czy coś powiecie, czy nie, my i tak dojdziemy prawdy.

Milicjant dyżurny odprowadził „Złotą Rączkę" z powrotem do aresztu.

A tymczasem ekipy milicyjne przepro-

wadziły dokładną rewizję w mieszkaniach obu Wiącków, ojca i syna. Pomimo bardzo skrupulatnych poszukiwań niczego podejrzanego nie znaleziono. Zebrano również dane dotyczące Wiącka seniora. Nie były one zbyt budujące. Okazało się, że nie stronił od kieliszka. Wykształcenie: cztery klasy szkoły podstawowej. I taki człowiek został intendentem gmachu Muzeum Śląskiego. Mało tego. Powierzono mu klucze do budynku, gdzie się znajdowały milionowe skarby.

Zarówno po pierwszej, jak i po drugiej kradzieży dyrekcja muzeum twierdziła, że ręczy za cały swój personel jako za ludzi kryształowo uczciwych i pracujących wiele lat wzorowo. Po takim świadectwie milicja ograniczyła się do pobieżnego przesłuchania intendenta gmachu.

To był jeden z moich licznych błędów — przyznał w 1974 roku podpułkownik Krzyżewski — oficer dochodzeniowy nie może wierzyć nikomu ani żadnym najpiękniejszym opiniom. Musi sam wszystko osobiście sprawdzić. Ale ja ciągle myślałem o tej międzynarodowej bandzie włamywaczy.

Pomimo negatywnego wyniku przeszukania milicja nie zrezygnowała z jedynego tropu, na który wpadła. Zainteresował ją mianowicie ogródek przy domu starego Wiącka. Postanowiono dokładnie zbadać ten teren. Jeden z pracowników MO zaopatrzony w magnetyczny wykrywacz metali bez trudu znalazł w ogródku miejsce, gdzie aparatura zasygnalizowała zakopane w ziemi jakieś metalowe przedmioty.

Nie trzeba było długo kopać. Na głębokości około metra łopata zgrzytnęła o metal. Wyciągnięto z piachu cztery miedziane, pozłacane kielichy kościelne. Kielichy były poważnie uszkodzone. Wyraźnie widać było na nich ślady nacinania dłutem czy też nożycami do cięcia metalu. Dyrekcja muzeum stwierdziła, że kielichy pochodzą z jej zbiorów i figurują na liście przedmiotów skradzionych w dniu 29 maja 1956 roku.

Wiącek senior powędrował do aresztu, gdzie umieszczono go w takiej celi, aby nie mógł się porozumiewać ze swoim zacnym synalkiem. Mimo to wieść o odkryciu zakopanych skarbów i o zatrzymaniu intendenta gmachu muzeum rozeszła się szybko po całym „dołku" i nie mogła ominąć Ryszarda. Milicja nie usiłowała temu przeszkodzić, można było przecież ojca umieścić w areszcie którejś z dzielnic Wrocławia. Przeciwnie, uważano, że fakt „wsypy" przyczyni się do szybszego skruszenia „Złotej Rączki". Wiele bowiem spraw pozostało jeszcze do wyjaśnienia, a w tym najważniejsza — miejsca ukrycia pozostałych sreber. Przede wszystkim relikwiarza świętej Jadwigi, najcenniejszego okazu muzealnej kolekcji.

Ta metoda okazała się słuszna. Już nazajutrz Ryszard Wiącek sprowadzony na górę, śpiewał jak z nut. Według jego zeznań wszystko to ukartował stary intendent. Parę dni przed kradzieżą odwiedził syna i opowiadał mu, jakie to skarby znajdą w gablotach muzeum. Złoto i srebro na kilogramy. Można naładować w worek tyle, że nawet mocny mężczyzna nie udźwignie. Każdemu z nich wystarczy do końca życia.

Żeby syna jeszcze bardziej zachęcić do „skoku", ojciec zaprowadził go do muzeum do sali zbiorów sztuki złotniczej. Tam na własne oczy podziwiał złote kielichy, srebrne puchary i relikwiarze.

— Tak długo — zeznawał Ryszard — ojciec mnie namawiał i tłumaczył, że nie ma żadnego ryzyka, aż się wreszcie zgodziłem.

Samą kradzież przeprowadzono bardzo prosto. Stary Wiącek miał przecież całkowitą swobodę w poruszaniu się po wielkim muzeum. W sobotę 27 maja przed zamknięciem budynku intendent zszedł do piwnicy i tam otworzył jedno z okien zostawiając je lekko uchylone.

Tej samej nocy „Złota Rączka" zaopatrzony w duży worek i śrubokręt wszedł przez okno do piwnicy. Ojciec na zewnątrz stał na „zeksie" bez obawy wpadki. Nikogo bowiem nie powinno zdziwić, że intendent nawet nocą czuwa nad bezpieczeństwem muzealnych zbiorów i sprawdza, czy gmach jest zabezpieczony przed złodziejami.

Po dostaniu się do piwnicy Ryszard

spokojnie wszedł na parter, gdzie z gabloty wyjął odpowiednie klucze i nimi otworzył salę ze zbiorami sztuki złotniczej. Z kolei śrubokrętem odkręcił śruby przytrzymujące zawiasy gablot i w ten sposób niczego nie uszkadzając dostał się do wnętrza.

Teraz pozostało załadować srebro do worka, ile tylko do niego wlezie i ile można będzie udźwignąć. Śruby zostały zakręcone, drzwi do sali zamknięte, klucz znalazł się z powrotem w gablocie. Jeszcze marsz z worem do piwnicy i podanie ładunku „tatusiowi", który czuwał na zewnątrz.

Srebro przeniesiono z muzeum do mieszkania starego Wiącka. Znajdowało się ono w bezpośrednim pobliżu muzeum, więc obaj złodzieje nie zdźwigali się zbytnio.

Od razu w niedzielę Wiąckowie raźno wzięli się do ciężkiej pracy. Jeden uzbrojony w nożyce do cięcia metalu przecinał kielichy i relikwiarze na wąskie paski. Drugi, mając młotek i kawał szyny, sklepywał srebro na prostą blachę. Pracowali tak cały dzień. Spotkał ich tylko jeden przykry zawód. Cztery ciężkie, masywne kielichy, które jak przypuszczali są zrobione z czystego złota, okazały się wyrobem z miedzi cieniutko pozłoconym. Kiedy pod nożycami błysnęła czerwona miedź, złodzieje chcieli je najpierw sklepać na blachę, żeby ją można było wyrzucić. To jednak szło im bardzo ciężko i w końcu zdecydowali zakopać ten „szmelc" w ogródku.

Wieczorem Ryszard Wiącek zaniósł do swojego mieszkania na Psich Budach kilka kilogramów srebrnego złomu. Wbrew przypuszczeniom ojca i syna, skradzione srebrne przedmioty okazały się dużo lżejsze niż to się wydawało patrząc na gabloty.

W poniedziałek 28 maja, rankiem, Ryszard Wiącek poszedł do najbliższego sklepu „Jubilera", gdzie sprzedał srebra za kwotę około tysiąca pięciuset złotych. Drugą połowę srebrnych pasków dał jakiemuś kumplowi, który zaniósł je do „Veritasu", a Ryszardowi wypłacił uzyskane z tej transakcji tysiąc złotych.

Tak za pomocą nożyc i młotka obu złodziejom udało się przerobić kolekcję średniowiecznych sreber, wartą dla amatora kilkaset tysięcy dolarów, na dwa tysiące pięćset złotych.

Senior i junior całą tę kwotę solidarnie przepili. Przedtem jeszcze, we wtorek 29 maja, przed odkryciem kradzieży, stary Wiącek zszedł ponownie do piwnicy i zamknął uchylone okno.

Gdybym się nie zabawiał tą swoją teorią o międzynarodowej bandzie włamywaczy, którzy tak genialnie potrafili otworzyć dość skomplikowane zamki — stwierdził melancholijnie Krzyżewski — tylko po prostu posłał jednego wywiadowcę do sklepów „Jubilera" i „Veritasu", żeby zapytać, czy nikt nie sprzedawał ostatnio większej ilości srebrnego złomu, miałbym obu przestępców w rękach w ciągu najwyżej czterdziestu ośmiu godzin. Niestety byłoby i tak za późno na uratowanie cennych zabytków, bo przed odkryciem kradzieży Wiąckowie zamienili je na wąskie paski metalu. Wprawdzie kontaktowałem się z „Jubilerem", komisami i „Veritasem", ale po to, aby ostrzec ich o włamaniu do muzeum i dać opis skradzionych kosztowności. Do głowy mi nie przyszło, że ktoś może bezcenne średniowieczne srebra przekuć młotem na prawie bezwartościowy złom.

Kasjer w banku — ciągnął dalej podpułkownik — zanim usiądzie przy okienku czekowym przechodzi długoletnią praktykę. Wypróbowuje się jego uczciwość, sprawdza środowisko, w jakim żyje, wreszcie kontroluje się codziennie zarówno kasę, jak i pozostałe czynności tego pracownika. Przy potrójnym obiegu dokumentów, istniejącym w każdym banku, kasjer właściwie nie ma żadnych możliwości kradzieży pieniędzy, które przechodzą przez jego ręce. Ostatecznie „działając na chama" mógłby jakiemuś wspólnikowi podać pod pozorem wypłaty czeku kilkadziesiąt tysięcy złotych, ale przy najbliższym zdawaniu kasy zostałby na miejscu złapany na złodziejstwie.

Czy to nie jest dziwne, że człowiekowi, którego przeszłości dokładnie nie znano,

ofiarowano taką robotę? Wiedziano, że lubi wypić, że ma tylko cztery klasy szkoły podstawowej, a mimo to bez wahania powierzono mu stanowisko intendenta gmachu, gdzie znajdowały się skarby cenniejsze niż w kasie banku. Cenniejsze, bo w razie straty nie do odkupienia. Rezultat, złodziej skradł dzieła sztuki o wartości oficjalnej 346 tysięcy złotych i niszcząc je bezpowrotnie, sprzedał na złom za 2500 złotych.

— Człowiek z wyższym wykształceniem także mógłby się okazać złodziejem — zauważyłem — ilość posiadanych klas czy nawet dyplomów nie świadczy o uczciwości.

— Zgoda — potwierdził mój przyjaciel — ale ten wykształcony złodziej przynajmniej nie zniszczyłby cennego łupu.

— Ale by go wywiózł za granicę i tam sprzedał.

— Zawsze istniałyby szanse, że zdołamy te skarby odzyskać. Może wpadłby na granicy? Może pomoc Interpolu i obcych policji pozwoliłaby na zdemaskowanie przestępcy przy usiłowaniu sprzedaży sreber. A tak straciliśmy je bezpowrotnie.

— A jednak przestępcy zostali ujęci — pocieszałem Krzyżewskiego.

— Tak. Ale nie dlatego, że prowadziłem to dochodzenie, tylko dzięki temu, że każdy z nas, milicjantów, zawsze może liczyć na pomoc i współpracę kolegów niezależnie od posiadanych stopni. Przecież dowódca patrolu, sierżant, który wtedy uspokajał pijanego awanturnika, mógł puścić mimo uszu pogróżki pobitej kobiety. A gdyby nie uważał, że jego obowiązkiem jest podzielić się ze mną uzyskanymi informacjami? One to właśnie jak reflektor oświetliły nagle całą sprawę.

— Jak się to skończyło? — zapytałem.

— Stary Wiącek wobec niezbitych dowodów jego winy przyznał się do wszystkiego od razu na pierwszym przesłuchaniu. Zasadniczo potwierdził zeznania syna z jednym wyjątkiem. Oto długo i szeroko opowiadał, jak to wyrodny syn namówił ojca do popełnienia przestępstwa. Jak to on, intendent gmachu, opierał się wszelkim pokusom, wreszcie dał się omotać jedynemu dziecku. Wziął udział w kradzieży prawie pod terrorem i tylko dzięki swojemu dobremu sercu, że nie umiał jedynakowi niczego odmówić, spędzi stare lata w więzieniu.

— Ojciec zwalał na syna, syn na ojca? — zapytałem zdumiony.

— W naszej praktyce niczemu się nie dziwimy. Zatrzymany przestępca myśli wyłącznie o ratowaniu własnej skóry. Przyjaźń, rodzina, to wszystko wobec wiszącego nad złodziejem wyroku sądowego przestaje być ważne.

— A wyrok?

— Bardzo surowy. Obaj dostali po sześć lat więzienia. Ale najsurowszy wymiar kary, niestety, nie zrekompensował strat, jakie ci dwaj wyrządzili zarówno Muzeum Śląskiemu jak i całej naszej kulturze. Wprawdzie cztery złocone kielichy po troskliwej naprawie wróciły w muzeum na swoje miejsce, ale reszta zbiorów przepadła.

— Co się dalej stało z obydwoma Wiąckami? Już dawno musieli opuścić mury więzienia.

— Zwolniono ich w połowie lat sześćdziesiątych. Starszy nigdy więcej nie zawitał w nasze progi. Podobno umarł w parę lat po odbyciu kary. Natomiast Ryszardowi Wiąckowi żona trafnie przepowiedziała „czarny los". „Złota Rączka" w więzieniu uzupełnił kryminalne wykształcenie. Po opuszczeniu więzienia w Sieradzu Ryszard zajął się pszczelarstwem. W miejscu zamieszkania szybko dał się ponownie poznać jako pijak i awanturnik, nie gardzący kradzieżą i włamaniem.

Na początku 1966 roku Wiącek razem z jednym ze współwięźniów, z którym tę akcję uplanowali jeszcze w celi w Sieradzu, włamali się do lokalu bogatej starej kobiety, zamieszkałej we Wrocławiu przy ulicy Puławskiej. Ten skok przyniósł im łupy wartości ponad 50 000 złotych i chwilowo nie został wykryty.

W pół roku później Ryszard Wiącek postanowił powtórzyć akcję. Kobieta ta, jak głosiła plotka, miała istne skarby w złotych monetach i w obcych walutach. Wiącek dobrał sobie dwóch wspólników i w dniu

16 listopada 1966 roku, udając monterów z elektrowni, cała trójka dostała się do mieszkania starej kobiety, którą jeden z bandytów udusił. Skarbów nie znaleziono, bo ich po prostu nie było. Zrabowano jedynie zegarek, dwa złote pierścionki i kilkaset złotych gotówką.

Milicja szybko wpadła na trop przestępców. Doborową trójkę zatrzymano. W kwietniu 1968 roku bandyci stanęli przed sądem. Ryszard Wiącek skazany został na piętnaście lat więzienia. Jako recydywista nie podlegał niedawnej amnestii. Przeszło pięćdziesięcioletni człowiek opuści mury więzienia. Gdzieś w początkach przyszłego dziesięciolecia. Czy na długo?

Rozdział V

Wysoka nagroda

— Sprawa obu Wiącków — dalej opowiadał Krzyżewski — była dla mnie przysłowiowym kubłem wody wylanym na głowę pełną teorii, może nawet ładnych i prawdopodobnych, ale teorii, którym życie zadało kłam. Można było teraz przyjąć, że drugi rabunek, tym razem obrazów, także mają na sumieniu miejscowe elementy przestępcze. Zamiast więc szukać sprawców włamania na szerokim świecie, należało się skoncentrować przede wszystkim na Wrocławiu. Należało również rozszerzyć nieco krąg, w którym spodziewano się znaleźć ewentualnych przestępców. Jednym słowem: bliżej, ale dokładniej.

Z analizy całego materiału zebranego dotychczas przez dochodzenie wynikało, że milicja wrocławska rozporządza zbyt małą ilością danych, żeby ruszyć sprawę. Trzeba było odwołać się do społeczeństwa z prośbą o pomoc, nie zapominając przy tym i o bodźcach materialnych.

W sierpniu 1959 roku prasa zamieściła apel Prokuratury Generalnej do społeczeństwa o pomoc w wykryciu sprawców kradzieży obrazów i o pomoc w odnalezieniu tych płócien. Dla osoby lub osób, które przyczynią się do rozwiązania zagadki włamania do muzeum wrocławskiego, Prokuratura Generalna ustanowiła wysoką nagrodę, zapewniając całkowitą dyskrecję osobom, które udzielą informacji.

Po tym apelu do milicji i do dyrekcji muzeum zaczęły napływać liczne listy, które trzeba było skrupulatnie sprawdzać, bo w każdej nawet z pozoru naiwnej informacji mogło się kryć ździebło prawdy, przysłowiowy początek nitki wiodącej do kłębka. Zgłaszali się również osobiście różni ludzie.

Między innymi do dyrektora Muzeum Śląskiego, pana Zbigniewa Horminga, zgłosiła się jedna z pracownic tegoż muzeum, pani Helena, mniejsza o jej nazwisko, i poinformowała, że na parę tygodni przed kradzieżą częstym gościem w gmachu nad Odrą bywał znany jej z nazwiska Janusz Słup. Zainteresowanie młodego człowieka obrazami przejawiało się przede wszystkim w jednym kierunku. Stale dopytywał o wartość poszczególnych obrazów. Otrzymywał odpowiedzi zgodne z prawdą, że w Polsce najwyższe ceny uzyskują płótna Matejki, Gierymskiego, Rodakowskiego, Juliusza Kossaka. Właśnie obrazy tych mistrzów zostały później skradzione. Pani, która udzieliła tych informacji dyrektorowi muzeum, dodała, że ma wspólnych znajomych z Januszem Słupem i że ten mężczyzna, kiedy rozmowy schodziły na temat włamania do muzeum, przechwalał się, iż mógłby coś o tym powiedzieć.

Dyrektor muzeum zawiadomił Komendę Wojewódzką MO. Milicja nie zlekceważyła tej nader słabej poszlaki, lecz poszła za tym tropem. Wkrótce okazał się on tak interesujący, że prokurator powiatowy dla miasta Wrocławia decyzją z dnia 25 sierpnia podjął umorzone uprzednio postępowanie w sprawie kradzieży 13 obrazów.

W tym samym dniu prokurator podpisał nakaz aresztowania Janusza Słupa jako podejrzanego o dokonanie włamania.

Tego też dnia prokurator przesłuchał świadka panią Helenę, która potwierdziła swoje poprzednie informacje i uzupełniła

je wieloma cennymi dla dalszego dochodzenia szczegółami.

Janusz Słup nie był milicji osobą nie znaną. Przeciwnie, odwiedzał nieraz areszty wrocławskie. Brał udział w najrozmaitszych bójkach i awanturach, kilkakrotnie był podejrzany o udział w kradzieżach, ale jakoś się z tego wywinął. Uczestniczył wreszcie we włamaniu do jednej z wrocławskich restauracji, gdzie razem ze wspólnikami ukradł skrzynię z wódką. Ale dotychczas nikt go nie posądzał o zamiłowania artystyczne, wizyty w Galerii Malarstwa Polskiego w muzeum wrocławskim.

Mieliśmy nawet informację, że i w więzieniu Janusz Słup nie tracił czasu, lecz uzupełniał swoje złodziejskie wykształcenie. Teraz kiedy znalazł się na liście podejrzanych o kradzież obrazów — dodał podpułkownik Krzyżewski — zainteresowaliśmy się i tym wycinkiem życia młodego człowieka. Bez trudu ustaliliśmy, bo więźniowie chętnie sypią jeden drugiego, a tym bardziej wypuszczonego na wolność, że Słup dopytywał się „kolesiów spod celi", czy nie ułatwiliby mu kontaktu z cudzoziemcami, gdyż ma różne cenne rzeczy, które mogłyby zainteresować bogatych dewizowców. Jeden z więźniów pochwalił się znajomościami w pewnej ambasadzie, a Słup natychmiast zaproponował mu spółkę w sprzedaży biżuterii i obrazów. Wprawdzie nie wyjaśnił, o jakie obrazy tu chodzi, ale teraz po informacjach pani Heleny to wszystko nabierało innego znaczenia. Przedtem można było opowiadania Słupa uważać za przechwałki dla zdobycia miru wśród współmieszkańców jednej celi. Teraz stanowiły poszlakę w konkretnej sprawie.

Na pierwszym przesłuchaniu Janusz Słup poszedł „na zaparte". Nie przyznawał się do niczego. W ogóle nie słyszał o kradzieży obrazów, nigdy nie był w muzeum, nigdy nikomu nie opowiadał o obrazach ani też nie próbował ofiarowywać ich do sprzedaży. Tę samą taktykę stosował i podczas paru następnych przesłuchań. Nie chciał nawet wytłumaczyć, dlaczego ukrywał się przed milicją. Wywiadowcy milicji, którzy mieli zatrzymać młodego człowieka i doprowadzić do komendy, nie zastali Janusza w domu. Więcej już się tam nie pojawił. Poszukiwano go w mieszkaniu matki, u jego znajomych i krewnych, a nawet w różnych melinach. Słupa odnaleziono dopiero na Lubelszczyźnie, najwidoczniej uważał, że tak daleko od Wrocławia, lokując się u dalszej rodziny, jest zupełnie bezpieczny.

W tym czasie milicja zebrała już sporo poszlak przeciwko zatrzymanemu. Skonfrontowano Słupa z Heleną, kobieta potwierdziła, że widziała kilka razy młodego człowieka w muzeum oraz fakt, że interesował się tym, który z obrazów jest najcenniejszy. Wypytywał także o różne szczegóły techniczne: jak się obsadza obrazy w ramach, jak się je wyjmuje z nich i w jaki sposób należy opakować płótna podczas transportu.

Podczas konfrontacji Janusza Słupa z niedawnymi towarzyszami z celi byli więźniowie poważnie obciążyli swego dawnego kumpla. Słup przechwalał się, że posiada obrazy o wartości według niego co najmniej kilkuset tysięcy dolarów. Opowiadał, że cała trudność polega na znalezieniu w kraju dostatecznie bogatego cudzoziemca, który by chciał kupić te płótna, wywieźć je za granicę, tam je sprzedać i przy tym nie próbował oszukać wspólnika w Polsce.

Janusz Słup w celi więziennej opowiadał ze szczegółami, jak to prowadzono pertraktacje z dyrekcją muzeum i jak to on nie dał nabrać się milicji, zastawiającej pułapkę na złodziei obrazów. To także była poważna poszlaka, bo o pertraktacjach wiedziało tylko małe grono osób. Z ramienia muzeum wyłącznie jego dyrektor, zaś z milicji tylko kilku wyższych oficerów. A więc Janusz Słup, jeśli znał te szczegóły, to albo sam był sprawcą włamania i sam prowadził rokowania, albo też mógł się o nich dowiedzieć jedynie od złodziei. Tak czy inaczej, wszystko to świadczyło o tym, że młody człowiek zna prawdę dotyczącą tajemnicy.

Milicja prowadziła tymczasem intensywny wywiad w środowisku, w którym obracał się Janusz Słup. Znowu uzyskali infor-

macje, że młody człowiek często dawał do zrozumienia, iż jest właścicielem wielkiego skarbu, który ma zamiar spieniężyć i wyjechać za granicę. Tam zaś bawić się, mieszkać w najelegantszych hotelach i odbywać podróże dookoła świata. Marzenia o podróżach i zabawach w wytwornych kurortach i takich miejscach wypoczynkowych jak Wyspy Kanaryjskie czy wyspy Bahama były obsesją Janusza. Wszyscy jego znajomi dużo mówili o tych mrzonkach. Byli jednak wśród nich i tacy, zwłaszcza parę dziewczyn, przed którymi Słup otwarcie się przechwalał, że tylko on jeden wie, gdzie są ukryte obrazy i że poza nim „nawet diabeł ich nie znajdzie".

Na kolejnych przesłuchaniach udostępniałem zatrzymanemu wgląd w te zeznania. Chodziło mi o to, by młody człowiek nabrał przekonania, że dochodzenie posuwa się naprzód i że coraz bardziej krąg podejrzeń zacieśnia się wokół niego. Danych obciążających Janusza Słupa zebraliśmy tyle, że można było już sporządzić akt oskarżenia. Zależało nam jednak nie tylko na tym, żeby przestępca poniósł karę, ale przede wszystkim na obrazach. Najszybciej i najpewniej można było je odzyskać przy pomocy młodego człowieka. Zależało nam więc, by wreszcie przyznał się do winy i wskazał miejsce ukrycia płócien.

Janusz Słup, w miarę zapoznawania się z obciążającymi go zeznaniami, zaczął zmieniać taktykę. Nie tylko więc nie przyznawał się do udziału w kradzieży, ale zaczął wyśmiewać się z nieudolności organów milicji, która tej sprawy nie potrafi rozwiązać. Tych skradzionych obrazów, to on, Janusz Słup, jest tego całkowicie pewny, milicja nigdy nie znajdzie.

Tę jego bezczelność i cynizm — uśmiechnął się Adam Krzyżewski — postanowiliśmy wykorzystać w dalszym prowadzeniu dochodzenia. Początkowo bowiem brakowało nam pewnych danych z życia Janusza Słupa, które pozwoliłyby nam lepiej poznać charakter i psychikę młodego człowieka. Trzeba było tak zmienić taktykę postępowania, aby zatrzymany zrozumiał swoją przegraną i sam nam powiedział, gdzie ukrył obrazy, oraz wyjaśnił, kto mu pomagał w ich zdobyciu. Było przecież jasne, że Janusz Słup nie mógł w pojedynkę dokonać włamania do muzeum. Musiał mieć, jeżeli nie wspólników, to pomocników.

Rozdział VI

„Kanonik" z „Klubu 41"

— W rozszyfrowaniu przeszłości Janusza Słupa, a przede wszystkim jego wczesnej młodości — podpułkownik Adam Krzyżewski kontynuował swoją opowieść — bardzo mi pomogli koledzy zarówno z Komendy Wojewódzkiej, jak i z Komend Dzielnicowych. Ci, którzy w latach 1948—1955 pracowali jako dzielnicowi w osiedlach willowych Wrocławia; Zalesie, Oporów i Biskupin, rejony miasta ze wszystkich stron otaczające park Szczytnicki.

Obecnie park Szczytnicki jest pięknym, uporządkowanym ogrodem miejskim. Wtedy, przed dwudziestu pięciu laty, przypominał on raczej zapuszczony las niż teren rekreacyjny. Tuż przy ulicy Witelona, niedaleko Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego, była w tym lasku spora polana, na której od wczesnej wiosny do późnej jesieni młodzież grywała w piłkę nożną. Właśnie cała późniejsza historia kradzieży obrazów zaczęła się na tej polanie.

Początkowo mecze rozgrywano w godzinach popołudniowych. Grający w piłkę chłopcy mieszkali przeważnie w pobliskich willach. Te przygodne początkowo grupki przekształciły się później w bardziej zwarte zespoły, którym już nie wystarczał czas po lekcjach. Zaczęły się wagary i mierzą konkurujące z sobą różne grupki chłopców staczały zawzięte bójki o prawo gry na polanie. Chłopcy z drużyny grającej tylko w piłkę nożną powoli, niepostrzeżenie, zamieniali się w młodzieżową bandę. Zaczęło się od wagarów, a skończyło na rzuceniu w ogóle nauki. Przyszła kolej na

papierosy, później zjawiło się wino „pisane patykiem", wódka i dziewczyny.

Z tej rywalizacji o „panowanie" w parku Szczytnickim wyszła zwycięsko grupka, która sama nazwała się „Klubem 41". Wspomnienia okupacji i walki konspiracyjnej z najeźdźcą hitlerowskim były wtedy w całym społeczeństwie bardzo żywe. Nic więc dziwnego, że ta młodzież jeszcze nie wykolejona, ale już bliska tego, tworząc bandę, próbowała naśladować wzory konspiracji niedawnych lat. Stąd nazwa „Klub 41" — może od planowanej liczby uczestników klubu, może dlatego, że dla najmłodszych członków tej szajki rok 1941 był datą urodzenia. Zamiast nazwisk używano pseudonimów, chociaż wszyscy się doskonale znali. Wysoki przystojny chłopak o kruczoczarnej czuprynie został przezwany „Hiszpanem". Inny o rumianych policzkach, z lekka zadartym nosie, niezbyt wysoki, ale o masywnej budowie — „Kanonikiem". Mały szczupły, który potrafił wdrapać się na najwyższe nawet drzewo „Małpą". Był tam także „Długi". Nie obeszło się naturalnie bez „Kmicica" i „Bohuna", a także „Mściciela".

Wszystko to początkowo wydawało się dziecinadą. Gdyby ci chłopcy grający na polanie w piłkę trafili chociażby na sąsiadujące z tym terenem boiska AZS przy Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego, lub gdyby jakiś trener „Gwardii" przechodzący na pewno często przez park Szczytnicki w drodze na Stadion Olimpijski zainteresował się nimi, być może udałoby mu się zmontować niezłą drużynę futbolową. Pozostawieni sami sobie, wyrośli... na niezłych chuliganów.

Nawet jesień i zima nie przerywały spotkań „Klubu 41". Mniej więcej w samym środku parku Szczytnickiego znajdował się mały drewniany kościółek. Zapewne przed laty przywieziony z jakiejś podwrocławskiej wsi jako wzór zabytkowego budownictwa drewnianego. Kościółek wówczas był nieczynny. Okno miał zabite deskami, drzwi zamknięte na kłódkę. Dobranie odpowiedniego klucza, czy też ukręcenie tej kłódki nie przedstawiało dla młodocianych „konspiratorów" żadnego problemu i w ten prosty sposób klub dorobił się własnej siedziby. Tutaj ci chłopcy się spotykali, palili swoje pierwsze papierosy, tutaj uczyli się pić wódkę.

Lata biegły. „Klub" coraz bardziej przekształcał się w gang młodzieżowy. Chłopcy coraz częściej pili, a na wino czy wódkę potrzeba było coraz więcej pieniędzy. Drobne „kieszonkowe" otrzymywane od rodziców już nie wystarczały. Członkowie klubu zaczęli się rozglądać za innymi źródłami dochodu. O uczciwej pracy nikt z nich nie myślał.

W ciągu kilku lat zmienił się też skład personalny gangu. Odeszła ta młodzież, która od bezmyślnego wałęsania się i picia wódki w starym kościele wolała naukę i pracę. Jak w każdej tego rodzaju grupie dokonał się proces polaryzacji. To co było dobre spłynęło jak woda przez sito, pozostały męty.

Teraz zaczęły się serie drobnych kradzieży w domach na Zalesiu i Biskupinie oraz napady na podpitych przechodniów w ciemnych ulicach w pobliżu parku. Ofiarom rabowano pieniądze i zdzierano z rąk zegarki. Coraz częściej powtarzały się włamania do kiosków spożywczych. Doszło wreszcie do większej kradzieży. Obrabowano sklep spółdzielczy w pobliżu „Zielonego Mostu". Ani razu sprawców nie wykryto, chociaż wszystkie podejrzenia padały na „Klub 41".

W końcu stan bezpieczeństwa w tych dzielnicach tak się pogorszył, że nikt po zmierzchu nie ośmielił się przejść drogą przez park Szczytnicki. Sprawy dojrzały do radykalnego załatwienia.

Milicja zorganizowała kilkakrotnie wielkie obławy w parku, zatrzymując kilkadziesiąt osób, w tym prawie wszystkich członków „Klubu 41". Dzielnicowi dobrze już się orientowali w składzie personalnym „organizacji". Ci z młodych, którym dowiedziono udziału w przestępstwach, zapoznali się z sądem dla nieletnich i powędrowali do „poprawczaka". Innym jakoś udało się od tego wykręcić, wyjść na wolność, ale ich nazwiska zapisano w kartotekach milicyjnych, by nie tracić ich z

oka. Zlikwidowano „melinę" w drewnianym kościółku i zabezpieczono go na przyszłość przed podobnymi przygodami.

Spokój i bezpieczeństwo wróciło do parku Szczytnickiego. Można było teraz nie obawiać się niczego, spokojnie spacerować ścieżkami wśród lasu i do woli słuchać śpiewu słowików w majowe wieczory. Nawet ci członkowie klubu, którzy po energicznej akcji MO wynieśli całe głowy, woleli unikać tych stron. „Klub 41" przestał istnieć.

Tak się przynajmniej milicji zdawało, że przestał istnieć. Inicjatorzy powołania klubu do życia, teraz siedemnastoletni, osiemnastoletni chłopcy i nawet jeszcze starsi, nie zerwali kontaków ze sobą — zmienili tylko miejsce spotkań i sposób działania. Coraz to któryś z byłych członków klubu trafiał przed kratki sądowe, przyłapany na takim czy innym przestępstwie. Z reguły coraz poważniejszym.

Dużą winę za to ponoszą i rodzice. Lata czterdzieste i początek lat pięćdziesiątych we Wrocławiu to rozkwit „prywatnej inicjatywy", która zajmując się przeważnie niezbyt czystymi interesami, dążyła do zdobycia jak największych zysków.

Hasłem dnia dla wielu z tych ludzi było dorobić się jak najprędzej i za wszelką cenę, zanim na tych ziemiach zapanuje prawo i nastąpi pełna stabilizacja. Toteż kroniki sądowe i milicyjne z owych lat pełne są wielkich afer gospodarczych, a więzienia pełne były ludzi, którzy zbyt szybko „jechali" do majątku. Czy zajęci gromadzeniem pieniędzy mieli czas i głowę, aby jeszcze poświęcić uwagę swoim dzieciom? Zresztą jakim przykładem mogli im służyć?

Byli wśród tej grupy chłopcy obdarzeni prawdziwą fantazją. Janusz Słup, czyli „Kanonik", syn bogatego gospodarza z Lubelskiego, do Wrocławia przyjechał wraz z rozwiedzioną matką, która prowadziła młyn na Dolnym Śląsku i również nie żałowała synalkowi pieniędzy. Wprawdzie Janusz nie ukończył nawet szkoły podstawowej, ale za to uczył się z zapałem geografii. Planował przecież te podróże dookoła świata.

„Kanonik" oczywiście nigdzie nie pracował. Zresztą po co? Miał stale dosyć pieniędzy od matki. Ojciec zresztą także mu służył swoją kieszenią.

Pewnego razu „Kanonik" wywołał sensację, oznajmiając przyjaciołom, że zmienia tryb życia i rozpoczyna pracę. Otrzymał posadę dozorcy w miejscowym ZOO. Ale ta kariera trwała zaledwie kilka dni i skończyła się smutno dla niego. Korzystając z nieuwagi człowieka obsługującego klatki z lwami, Janusz Słup postanowił zabawić się w tresera. Wszedł do klatki starego, całkowicie zresztą obłaskawionego lwa, który podobno przed tym przez wiele lat wędrował z jakimś cyrkiem i teraz lata emerytury spędzał we wrocławskim ZOO.

Lwisko porządnie się wystraszyło niespodziewanymi odwiedzinami nieznajomego. Tym bardziej że przybysz złapał zwierzę za ogon. Biedny „król zwierząt" na próżno szukał schronienia w najdalszym kącie klatki, bo prześladowca i tam nie zostawił go w spokoju. Złapał lwa za grzywę, zmusił do otwarcia paszczy i włożył rękę między zęby. Przerażony lew stracił wreszcie cierpliwość i nie tyle z gniewu, co raczej ze strachu kłapnął szczękami. „Kanonika" odwieziono do szpitala. Tak skończyła się jedyna w jego życiu próba pracy.

Inny chłopiec z tej grupy zwany „Kubusiem", znał chyba wszystkie na świecie marki samochodów. Nieraz zakładał się z kolegami, że siedząc z zawiązanymi oczyma na skraju szosy rozpozna każdy przejeżdżający wóz jedynie po gangu silnika.

Podobno bardzo rzadko przegrywał.

Tak więc milicja, zwłaszcza dzielnicowi, znała wiele szczegółów życia Janusza — kończył tę część opowiadania podpułkownik — teraz te wszystkie informacje dotarły do mnie. Przestudiowałem je uważnie. Uznałem, że wiem dostatecznie dużo, aby przystąpić do zasadniczej rozgrywki z zatrzymanym. Postanowiłem zagrać *va banque*. Byłem pewien, że wygram.

Rozdział VII

Tajemnica kościółka w parku Szczytnickim

— Na moje polecenie milicjant wprowadził Janusza Słupa do pokoju i zamknął drzwi. Wskazałem krzesło naprzeciwko biurka i położyłem przed nim paczkę papierosów i zapałki. Po minie młodego człowieka widziałem — powiedział Krzyżewski — że nie mogę się spodziewać żadnych szczerych zeznań.

— Długo mnie tak będziecie ciągali na przesłuchania? Na próżno pan inspektor traci czas. Niczego się ode mnie nie dowiecie, a sami także niczego nie potraficie znaleźć.

— To już ostatnie przesłuchanie — udawałem, że nie rozumiem impertynencji — właśnie zamykam dochodzenie i pozostała formalność, zaznaczyłem tylko w protokole, że podejrzany nie przyznaje się do winy i nie chce powiedzieć, gdzie ukrył obrazy.

— To znaczy, że będę zwolniony?

— O zwolnieniu nie ma mowy. Po prostu zamykam dochodzenie i przekazuję akta prokuraturze celem sporządzenia aktu oskarżenia.

— A obrazy? — spytał Słup.

— To głupstwo. Znajdę je sam. Nawet mi bardzo na rękę, że nie przyznaliście się do winy i nie chcecie ujawnić schowka. Jestem na dobrym tropie. Moja zasługa będzie większa, jeżeli sam je znajdę. Pani Helena dostanie nagrodę. Mam nadzieję, że i moja nagroda nie będzie mała. Poza tym liczę na awans. Przydałoby się także jakieś odznaczenie.

— Może pan nie bujać. Mnie na takie kawały nie nabierzecie — Janusz Słup także się roześmiał, ale w jego głosie można było wyczuć pewne zaniepokojenie — nigdy nie znajdziecie obrazów.

— Czy się nie mylisz, „Kanoniku"?

Siedzący przede mną człowiek chciał coś powiedzieć, ale tylko otworzył usta i łapał nimi powietrze jak ryba wyjęta z wody. Cios był celny.

Podsunąłem zatrzymanemu kartkę papieru, gdzie przedtem maszynistka wystukała, że „zatrzymany Janusz Słup nie przyznaje się do winy i odmawia wskazania miejsca ukrycia obrazów".

— Proszę tu podpisać.

— Niczego nie podpiszę — warknął Słup.

— Jak chcecie, „Kanoniku", teraz to już nie ma żadnego znaczenia. Zrobię odpowiednią notatkę w protokole. Sprawa i tak jest wyjaśniona. Dziękuję za nagrodę, którą mam nadzieję dzięki wam otrzymam.

— Gdyby spojrzenia zabijały — wspominał podpułkownik — na pewno byłbym w tej chwili już zimnym trupem. Janusz Słup, kiedy go milicjant dyżurny odprowadzał do celi, był wściekły na mnie i na całą milicję. Udawałem, że tego nie dostrzegam.

Ta metoda zaskoczenia dała rezultaty. Nazajutrz rano Janusz zażądał, aby strażnik więzienny dostarczył mu do celi papier i długopis, chce bowiem napisać list do prokuratora. Zadośćuczyniono jego prośbie i „Kanonik" napisał podanie, w którym prosi o widzenie z prokuratorem wojewódzkim, gdyż chce mu ujawnić pewne tajemnice.

Do rozmowy z szefem prokuratury wprawdzie nie doszło, ale Janusz Słup został doprowadzony do naczelnika jednego z wydziałów, wiceprokuratora wojewódzkiego, Surowiaka. Młody człowiek długo tłumaczył przedstawicielowi prokuratury, że milicja jest nieudolna i przekupna, że nigdy nie znajdzie skradzionych obrazów i tylko się przechwala, że jest na ich tropie. Chce po prostu wyłudzić od ministra spraw wewnętrznych nagrodę za sukces, którego nie odniosła. W tej oracji młodego człowieka dużo miejsca zajęła moja skromna osoba. „Kanonik" starał się mnie opisać możliwie w najciemniejszych barwach — mówił uśmiechając się Krzyżewski.

Prokurator Surowiak, doświadczony prawnik, ani słowem nie przerwał tej opowieści. Miał już przecież do czynienia, jeżeli nie z tysiącami, to z setkami podob-

nych Januszowi Słupowi przestępców i spokojnie czekał na konkretne propozycje. Gdy „Kanonik" już się nawyżalał na „podłą milicję", oświadczył, że wie, gdzie są ukryte obrazy i gotów jest ujawnić to miejsce pod trzema warunkami:

1) „Kanonik" otrzyma samochód do swojej dyspozycji.
2) W samochodzie zajmą miejsca dwaj redaktorzy z miejscowej prasy oraz adwokat, obrońca Janusza Słupa. Poza tym tylko prokurator. Milicja nie ma prawa być przy tym obecna i nie wolno jej jechać za samochodem. Młody człowiek wspaniałomyślnie oświadczył, że aby go nie posądzono o planowanie w ten sposób ucieczki, można mu będzie założyć kajdanki i skuć razem z adwokatem.
3) Dopiero w samochodzie, kiedy już wóz ruszy, Słup wskaże, dokąd jechać, zaś po przybyciu na miejsce wyjaśni, gdzie są ukryte obrazy.

Prokurator nie dał zatrzymanemu wiążącej odpowiedzi. Wyjaśnił, że na zaakceptowanie tak dziwnego żądania musi mieć zgodę swoich władz zwierzchnich, ale sprawa będzie załatwiona w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin. Chcąc nie chcąc, „Kanonik" musiał się na to zgodzić. Podkreślił jedynie, że stawia te warunki wyłącznie dlatego, aby milicja nie przypisywała sobie zasługi odzyskania obrazów i nie otrzymała za to nagrody.

Ze względów formalnych prokurator musiał odrzucić drugi punkt „Kanonika" dotyczący asysty przedstawicieli prasy w drodze do schowka. Natomiast zapewniono Janusza Słupa, że jeszcze tego samego dnia dziennikarze będą zawiadomieni o odnalezieniu obrazów i poinformowani, iż Janusz wskazał je całkowicie „dobrowolnie". Przedstawiciel prokuratury także nie mógł się zgodzić na wyprawę jednym samochodem. Ustalono więc, że „Kanonik" z adwokatem i prokuratorem pojadą pierwszym wozem, zaś z tyłu, w drugim aucie, ekipa milicyjna.

Prokurator Surowiak poinformował również Słupa, że wskazanie przez niego miejsca ukrycia obrazów będzie przez sąd uznane za okoliczność łagodzącą i przyczyni się do niższego wymiaru kary.

— Wszystko mi jedno — odpowiedział „Kanonik" — ja się żadnego wyroku nie boję i tak nie będę siedział w więzieniu. Albo ucieknę, albo mnie stamtąd wyniosą nogami do przodu.

Aby dotrzymać umowy, prowadzący dochodzenie w porozumieniu z prokuratorem zwrócił się do prezesa sądu wojewódzkiego we Wrocławiu o wyznaczenie Januszowi Słupowi obrońcy z urzędu. Jako kandydata zaproponowano najlepszego z wrocławskich karników.

Chcieliśmy — podkreślił podpułkownik — być jak najbardziej konsekwentni: nie spłoszyć młodego człowieka i do końca wygrać jego nienawiść do milicji.

Następnego dnia sprzed prokuratury wrocławskiej, mieszczącej się zresztą w gmachu sądu przy ulicy Podwale, wyjechały dwa samochody. W pierwszym z nich znajdował się Janusz Słup razem z prokuratorem i swoim adwokatem, w drugim, za nimi, eskorta milicyjna. To było konieczne na wypadek, gdyby „Kanonik" próbował spłatać nam jakiegoś figla.

Jechaliśmy do parku Szczytnickiego, jak sobie młody człowiek życzył.

Byłem pewien — roześmiał się podpułkownik — że pojedziemy właśnie w tamtym kierunku i że zatrzymamy się przed starym kościółkiem, dawnym „lokalem klubowym" chłopców z „Klubu 41". Jednakże nasze poszukiwania nawet tylko w tym drewnianym kościele, gdzie obrazy mogły być ukryte za każdą deską, byłyby długie i mozolne. Mogłyby uszkodzić zabytkową budowlę. Dlatego wolałem, żeby zatrzymany sam wskazał skrytkę.

Kiedy samochody zatrzymały się przed kościołem, „Kanonik" zakomenderował:

— Proszę wejść na strych i tam nad samym ołtarzem wyjąć deskę powały. W pustej przestrzeni pomiędzy sufitem a powałą znajdują się dwie paczki. W tej większej jest dziewięć obrazów. W drugiej trzy małe.

Po paru minutach dwie paczki owinięte grubym, szarym papierem pakowym i obwiązane sznurem były już na dole. Ostroż-

nie zdejmowano opakowanie, wreszcie spod papieru błysnęły cenne malowidła. Obrazy przetrwały przeszło dwa lata w ukryciu bez większych uszkodzeń. Naturalnie czas i nieuchronna w tych warunkach wilgoć zrobiły swoje. Na płótnach pojawiły się niewielkie plamy, tak że zaszła konieczność poddania ich konserwacji.

Zgodnie z „umową" tego samego dnia prokuratura wrocławska ogłosiła komunikat o odnalezieniu obrazów i zwróceniu ich Muzeum Śląskiemu.

W dniu czwartego września 1959 roku prokurator Surowiak ponownie przesłuchał Janusza Słupa. Podejrzany przyznał się wtedy do dokonania kradzieży wspólnie ze swoim przyjacielem Jerzym Jakubczakiem i z jeszcze jednym byłym członkiem dawnego „Klubu 41", Romanem Kubarą.

Po tym przesłuchaniu sprawę Janusza Słupa przejął inny z wiceprokuratorów, a milicja na jego zlecenie podjęła dalsze czynności śledcze.

— Przepraszam — przerwałem Adamowi Krzyżewskiemu — czy pani Helena otrzymała ustanowioną przez Prokuraturę Generalną nagrodę?

— Naturalnie — odpowiedział podpułkownik — pieniądze te należały się jej bezspornie. Przecież tylko dzięki jej informacjom dotarliśmy do osoby Janusza Słupa. Gdyby nie pani Helena, kto wie, jak długo jeszcze błądzilibyśmy po omacku.

— Ciekawe, że tej pani pamięć wróciła dopiero po ogłoszeniu nagrody.

— W tym nie ma nic dziwnego — powiedział podpułkownik — na ogół ludzie krępują się, boją się dzielić z milicją swoimi spostrzeżeniami. Uważają, że to co wiedzą, nie ma żadnego znaczenia. Nie chcą się narazić na zarzuty, że niepotrzebnie zawracają „władzy" głowę, chociaż nigdy nikomu takich zarzutów nie stawiamy. Przeciwnie, zawsze jesteśmy wdzięczni za najdrobniejszą nawet wiadomość. Ogłoszenie nagrody pozwala naszym informatorom pokonać wewnętrzne opory. Ludzie wtedy rozumują: „milicja nic nie wie, to może moje wiadomości im się przydadzą". Dlatego też po ogłoszeniu nagrody, niezależnie od rodzaju sprawy, zawsze napływa bardzo dużo informacji. Dziewięćdziesiąt procent tych informacji, a czasem i więcej, jest rzeczywiście bez znaczenia, ale jakże często w ten sposób społeczeństwo pomaga nam trafić na właściwy ślad. Tak na pewno było i z panią Heleną. Początkowo nie przywiązywała żadnej wagi do rozmów z „Kanonikiem". Był to przecież jeden z jej licznych znajomych. Może nawet i nie pamiętała o takiej rozmowie w muzeum. Na pewno wiele osób ciekawi wartość pieniężna tych obrazów czy innych eksponatów. Fakt ogłoszenia nagrody wzbudził czujność tej pani. Dzięki nagrodzie uznała, że jej wiadomości mogą się przydać milicji. Tak się też stało.

Rozdział VIII

Zeznania Janusza Słupa

— Wielokrotnie przesłuchiwałem Janusza Słupa. Chodziło nam o to, żeby „Kanonik" zrekonstruował całość wydarzeń związanych z kradzieżą.

Któregoś dnia w ręce Janusza Słupa wpadł jeden z tygodników, który jako ciekawostkę podawał wyniki aukcji obrazów w Londynie. Sprzedawane tam płótna, między innymi także polskiego malarza Brandta, uzyskiwały bardzo wysokie ceny. Tego samego dnia „Kanonik" podzielił się tą wiadomością z przyjaciółmi: Jakubczakiem i Kubarą.

Tu chciałbym — powiedział Adam Krzyżewski — scharakteryzować towarzyszy Janusza Słupa. Jerzy Jakubczak od wczesnej młodości czuł ogromny pociąg do płci pięknej, natomiast Romana Kubarę pasjonowały samochody. Nie „warszawy" leniwie snujące się po ulicach Wrocławia, ale „ferrari" lub co najmniej „bugati".

Fantazje te młodzi ludzie gotowi byli urzeczywistnić za wszelką cenę. Nawet za cenę przestępstwa. Z drugiej strony mieli poczucie rzeczywistości. Marzenia można

zrealizować, ale trzeba na to dużo pieniędzy. Oczywiście nie złotówek i nie w Polsce.

Z całej trójki nikt nie mógł się pochwalić wyższym wykształceniem niż siedem klas szkoły podstawowej. Jedynie Jerzy Jakubczak skończył prócz tego jakieś kursy kreślarskie — stąd techniczne pismo na listach do Ministerstwa Kultury i Sztuki z żądaniem okupu za zwrot obrazów. Młodzieńcy mieli względnie zamożnych rodziców i jedynie Roman Kubara pracował zarobkowo. Reszta pędziła żywot „złotej młodzieży", brzydzącej się pracą.

Nic dziwnego, że cała trójka po zapoznaniu się z uzyskaną przez „Kanonika" wiadomością doszła do jednomyślnego wniosku — trzeba zdobyć jakieś obrazy, wywieźć je za granicę i tam sprzedać. A potem każdy w swoją stronę, urzeczywistniać własne projekty.

Jerzy Jakubczak swego czasu flirtował z pewną studentką wydziału historii sztuki. Dziewczyna któregoś dnia zaciągnęła go do Muzeum Śląskiego i tam dużo opowiadała o Galerii Malarstwa Polskiego. Teraz więc Jakubczak zaproponował „skok" na muzeum. Janusz Słup także przypomniał sobie, że zna jedną z pracownic tegoż muzeum. Postanowiono więc, że „Kanonik" przeprowadzi odpowiedni wywiad, by się zorientować, które obrazy są najcenniejsze i którymi warto się „zaopiekować".

Po uzyskaniu potrzebnych informacji trójka parę razy odwiedziła gmach Muzeum Śląskiego, aby się rozejrzeć w sytuacji i ustalić plan działania. Okazało się, że muzeum nie jest w nocy specjalnie pilnowane i że można się spokojnie ukryć w jakimś zakamarku wielkiej budowli, doczekać zamknięcia budynku, przesiedzieć aż do rana i dopiero wtedy przystąpić do operacji „obraz".

W niedzielę 3 marca Janusz Słup wraz z Jerzym Jakubczakiem, którego w „Klubie 41" nazywano „Hiszpanem", w godzinach popołudniowych weszli do gmachu muzeum i ukryli się w jednym z pomieszczeń gospodarczych. W nocy, o ściśle umówionej z trzecim wspólnikiem godzinie, obaj złodzieje przeszli do sal Galerii Malarstwa Polskiego. Księżyc świecił tak jasno, że nie potrzebowali zapalać światła czy też posługiwać się latarką. Zdjęli ze ścian obrazy i wyjmowali płótna z ram, które tylko przez przekorę chyba zawieszali z powrotem na hakach.

Roman Kubara tymczasem podjechał „wykombinowanym" samochodem pod gmach muzeum. Czekał dość długo, wreszcie zaczął się niecierpliwić. Dał sygnał klaksonem. Wtedy dwójka znajdująca się wewnątrz gmachu postanowiła resztę obrazów zabrać z ramami. Wystarczyło otworzyć okno i na linie spuścić cenne płótna. „Czarny Romek" — tak go zwali w klubie — odbierał obrazy i przenosił je do auta.

Po uporaniu się z tym „Kanonik" i „Hiszpan" zjechali na dół po tej samej linie. Nie było to zbyt trudne — sale galerii mieściły się na drugim piętrze.

Samochód ruszył i po kilkuset metrach zatrzymał się w parku otaczającym muzeum, gdzie wyjęto resztę obrazów z ram, a ramy po prostu wyrzucono.

Przyjaciele pojechali teraz prosto do parku Szczytnickiego. Tam już z góry przygotowano odpowiednią kryjówkę. Członkowie „Klubu 41" znali stary kościółek lepiej niż własną kieszeń. Doskonale wiedzieli, że po wejściu na strych wystarczy uchylić jedną deskę nad głównym ołtarzem, aby dotrzeć do sporej skrytki, z której nieraz korzystali w swojej złodziejskiej karierze. Mieli tu zawczasu przygotowany papier pakowy i sznur.

Po umieszczeniu odpowiednio zapakowanych płócien w schowku trzej przyjaciele byli szczęśliwi i pełni jak najlepszych nadziei. Zdawało się im, że tego skarbu nikt obcy nie znajdzie, a ich życiowy program niedługo będzie wykonany. Teraz należało tylko przygotować sobie drogę i uciec ze zdobyczą za granicę.

Pierwsze niepowodzenie spotkało ich zaraz po kradzieży. Okazało się, że wykraść obrazy z muzeum było znacznie łatwiej, niż je sprzedać. Próbowali najpierw we Wrocławiu nawiązać kontakty z „rzutkimi handlowcami", ale ci nie chcieli nie tylko ryzykować kupna, na to

naturalnie nie mieli tyle pieniędzy, ale nawet pośredniczyć w sprzedaży. Nawet najbardziej znani paserzy z placu Nankera na słowo „obrazy" z miejsca kazali młodym ludziom „spływać". Szybko też nasi bohaterowie dowiedzieli się, że granica jest obstawiona i nie może być mowy o wywiezieniu skradzionych dzieł sztuki na Zachód.

Nie powiódł się również rajd Jerzego Jakubczaka na Targi Poznańskie, gdzie próbował zainteresować obrazami cudzoziemców. Posiadacze skarbu przekonali się, że o sprzedaniu go nie ma co marzyć. „Czarny Romek" — Kubara również bez powodzenia próbuje kontaktów w Warszawie. Tam także nikt z nim nie chce mieć do czynienia. Młodzi ludzie mają w swoich rękach majątek wartości kilkuset tysięcy dolarów i... właściwie widzą, że niewiele im przyszło z przeniesienia obrazów z muzeum do schowka na strychu kościółka w parku Szczytnickim.

Po naradzie próbują więc innej drogi. Może uda się wyciągnąć jakieś pieniądze z kasy Muzeum Śląskiego. Jakubczak jako biegły w piśmie technicznym, które bardzo trudno zidentyfikować, pisze pierwszy list do ministerstwa. Zwracają jeden obraz i zaczynają korespondencję ciągnącą się parę miesięcy. W tej korespondencji obie strony nie ufają sobie i raczej chcą zyskać na czasie. Milicja, żeby szukać obrazów, złodzieje, żeby znaleźć jakąś możliwość przerzucenia łupu za granicę lub poznać w kraju bogatego cudzoziemca, który zechce zaryzykować.

Chłopcy są na tyle sprytni, że orientują się w tej grze. Wiedzą, że jeżeli nawet dyrekcja muzeum zdecyduje się wykupić obrazy, to milicja dobierze się do nich. Dlatego też przeciągają pertraktacje i w dalszym ciągu szukają wszelkich okazji spieniężenia swojego skarbu.

Szczęście się do nich znowu uśmiecha. Właśnie „Orbis" organizuje wycieczkę „Mazowszem do Kopenhagi". Nasza trójka postanawia, że jeden z nich pojedzie do Danii. Wybierają Romana Kubarę. Udaje mu się dostać na listę uczestników, pomimo że miejsc było znacznie mniej niż zgłoszeń. Cel podróży jest prosty. W Kopenhadze „Czarny Romek" nawiąże kontakty i zafiksuje transakcję. Wtedy pozostała w kraju dwójka, korzystając z pomocy z zewnątrz, spróbuje uciec z obrazami. Cała trójka solidarnie opłaciła koszta wycieczki kolegi.

Roman Kubara ląduje w Kopenhadze. Zaraz po przybyciu do Danii „wybiera wolność". Jeżeli przedtem miał jeszcze jakieś złudzenia, że potrafi wywiązać się z powierzonego mu zadania, to na kopenhaskim bruku te iluzje natychmiast się rozwiewają. Orientuje się, że nie ma mowy o sprzedaży gdziekolwiek w Europie obrazów figurujących na listach gończych Interpolu. Sama rozmowa na ten niebezpieczny temat może skończyć się aresztowaniem i odstawieniem go ciupasem do Polski jako pospolitego przestępcy. Rezygnuje więc z prób przeprowadzenia transakcji. Szybko też przekonuje się, że w przeciwieństwie do Wrocławia, gdzie zawsze można było od bogatej rodziny wyciągnąć parę groszy, tutaj, żeby żyć, trzeba pracować. Jedyne zajęcie, jakie udaje mu się znaleźć, to mycie samochodów w wielkim podziemnym garażu. Pucuje auta i stara się wyjechać do Kanady. Prawdopodobnie mieszka tam do dziś.

Tak więc z trzech wspólników ubył już jeden i to najobrotniejszy. Na placu boju pozostał „Hiszpan" z „Kanonikiem". Obydwaj prowadzą nadal korespondencję z dyrekcją muzeum, jednak — jak wiemy — bez większych rezultatów.

Tymczasem Jerzy Jakubczak w jednej z wrocławskich knajp wywołuje po pijanemu awanturę i rzuca się z nożem na jednego z gości. Pogotowie zabiera rannego do szpitala, „Hiszpana" zaś milicja, która nie orientuje się jeszcze, jakiego przestępcę ma w swoich rękach. Za „uszkodzenie ciała", sąd skazuje Jakubczaka na parę miesięcy więzienia.

„Kanonik" pozostawszy sam na wolności nie ma odwagi prowadzić dalszej korespondencji z dyrekcją muzeum. Toteż dyrekcja gotowa zapłacić za obrazy 600 000 złotych nie otrzymuje już odpowiedzi. Zresztą Janusz Słup również nie cieszy się

zbyt długo wolnością. W listopadzie włamuje się do restauracji „Oaza", gdzie kradnie skrzynię z wódką. Ten łup nie przynosi „Kanonikowi" szczęścia. Milicja w ciągu paru dni aresztuje całą szajkę włamywaczy. Za młodym człowiekiem zamykają się bramy więzienia.

Następuje swoista zmiana warty. Kiedy „Hiszpan" wychodzi na wolność, jego kumpel z kolei rozpoczyna odbywanie kary. Jakubczak sam także nie ośmiela się na żaden krok w sprawie spieniężenia obrazów. Postanawia zaczekać z tym aż do wyjścia przyjaciela z „przechowalni". Los jednak zrządził inaczej. Dwaj młodzi przestępcy już się więcej nie zobaczyli.

Wiemy o tym, że Janusz Słup nawet w więzieniu usiłował handlować obrazami. Nikt się jednak tym nie zainteresował... nawet milicja — dodał podpułkownik z pewną dozą złośliwej samokrytyki w głosie.

W tym czasie, to był maj, pogotowie zabiera „Hiszpana" z ostrym zapaleniem wyrostka robaczkowego do szpitala, gdzie młodego człowieka natychmiast kładą na stół operacyjny. Operacja udała się, ale w parę godzin po zabiegu czyjaś ręka podaje choremu słoik z kompotem. Każdego chorego, który przechodzi operację jamy brzusznej, ostrzega się, że po zabiegu nie wolno mu niczym gasić pragnienia. Jerzy Jakubczak zlekceważył to ostrzeżenie. W godzinę po wypiciu kompotu nastąpiły u chorego gwałtowne ruchy jelit. Podwiązka zabezpieczająca ranę operacyjną zsunęła się, chory dostał krwotoku wewnętrznego i lekarzom nie udało się go uratować.

W tej sprawie prowadzono nawet dochodzenie. Nie ustalono, kto przyniósł i podał choremu kompot, który stał się przyczyną śmierci Jakubczaka. Czy był to gest „głupiej litości" kogoś, kto nie zdawał sobie sprawy, czym grozi choremu po operacji te pół litra płynu, czy też zbrodnia z premedytacją? Wiele osób, zwłaszcza kobiet, mogło życzyć „Hiszpanowi" takiego losu.

Kiedy Janusz Słup w lipcu 1957 roku opuszczał gmach więzienia centralnego we Wrocławiu, był jedynym w kraju człowiekiem, który wiedział, gdzie są obrazy i który mógł nimi dysponować. Początkowo „Kanonik" znowu próbuje nawiązywać kontakty z cudzoziemcami. Szuka dróg dojścia do jednej z ambasad w Warszawie. Nigdzie nie chcą z nim rozmawiać. Młody człowiek na własnej skórze przekonuje się, że „kradzione nie tuczy". Ma w swoich rękach bezcenne skarby i nie może za nie, gdyby chciał, kupić nawet kilograma chleba.

Po paru nieudanych próbach „Kanonik" wreszcie rezygnuje. Zrozumiał, że obrazów nigdy nie sprzeda. Nie zagląda na strych starego kościółka, gdzie leży skarb i nie próbuje go upłynnić. Nie umie jednak utrzymać języka za zębami. Często chwali się przed znajomymi i krewnymi, że rozporządza wielkimi bogactwami, lecz tylko chwilowo jest bez pieniędzy.

Te przechwałki doszły do uszu pani Heleny. Skojarzyła sobie ona słowa młodego znajomego z pytaniami, jakie jej zadawał o wartości poszczególnych płócien w salach Galerii Malarstwa Polskiego. Wysnuła słuszny wniosek, że skradzione obrazy są właśnie tym skarbem, którym tak się Janusz Słup przechwala.

Prokuratura wniosła do sądu wojewódzkiego w dniu 26 lipca 1960 roku akt oskarżenia o kradzież z Muzeum Śląskiego 12 obrazów wartości ponad jeden milion złotych. Sąd wojewódzki wyrokiem z dnia 11 listopada uznał Janusza Słupa winnym zarzucanego mu przestępstwa i skazał go na siedem lat więzienia. Ponadto sąd orzekł wobec niego utratę praw publicznych i honorowych na okres lat pięciu. Sąd wojewódzki uznał też, że należy przyjąć za okoliczność łagodzącą fakt, iż oskarżony dobrowolnie wskazał władzom miejsce ukrycia obrazów i dlatego wymierzył mu karę w granicach siedmiu lat więzienia.

Obrońca Janusza Słupa uważając wyrok za zbyt surowy, wniósł rewizję do Sądu Najwyższego w Warszawie. Wyrokiem Sądu Najwyższego wymiar kary został utrzymany w mocy.

Z uczuciem ogromnej ulgi i zadowolenia zamykałem wówczas sprawę i przekazywałem akta prokuratorowi. Uważa-

lem, że historia, w której przecież nie popisałem się, jest nareszcie zakończona. Pomimo moich błędów przestępca został ujawniony, obrazy odzyskane. Byłem przekonany, że znam całą prawdę. Jakże się jednak wtedy myliłem. Pozorny sukces znowu mnie zaślepił. Do sprawy Janusza Słupa musiałem wrócić po siedmiu latach...

Rozdział IX

Po siedmiu latach

— Dla nas, milicji — podpułkownik Krzyżewski snuł swoją opowieść — nie ma w ogóle „spraw zamkniętych". Co kilka czy też kilkanaście lat do spraw tych stale się wraca. Znowu się je szczegółowo czyta i na nowo bada. Może podczas dochodzenia coś przeoczono? Chociaż czyn przestępczy, będący przedmiotem naszego zainteresowania, uległ po upływie określonych lat przedawnieniu, to mimo to studiujemy akta. Służą one jako materiał szkoleniowy dla kadr milicyjnych zajmujących się dochodzeniem.

Jednocześnie milicja zbiera najrozmaitsze informacje. Z pozoru zupełnie nieważne. Te uzupełnienia nieraz dołącza się do „spraw zakończonych". Powstaje nowa konfiguracja. Na jaw wychodzą mylne posunięcia lub niewłaściwe rozwiązania, spowodowane brakiem materiału.

Tak się też stało i w sprawie kradzieży obrazów. Akta podręczne dochodzenia powędrowały do archiwum i leżały tam spokojnie przez siedem lat. Janusz Słup zdążył w tym czasie odsiedzieć karę i wyjść na wolność. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że nie dawał milicji nowych powodów do zajmowania się nim. Wyjechał z Wrocławia i przeniósł się na drugi kraniec Polski, do Gdyni.

Tymczasem, w 1966 roku, Służba Bezpieczeństwa Komendy Wojewódzkiej MO we Wrocławiu otrzymała na pozór niewiele znaczącą wiadomość, że w latach 1956—1957 działała we Wrocławiu nielegalna organizacja pod nazwą „K-44". W takich wypadkach zawsze bada się, jakie były cele tego rodzaju związku, „polityczne" czy dotyczące przestępstw pospolitych, a może po prostu sportowe lub towarzyskie. Gdyby chodziło wyłącznie o towarzyską zabawę czy nielegalny klub sportowy, władze oczywiście machnęłyby ręką i dały spokój konspiratorom.

Zaczęto więc grzebać w aktach — a przede wszystkim sięgnięto do wspomnień pracowników milicji, by dowiedzieć się, czy nazwa „K-44" nie obiła im się wtedy o uszy i w jakich okolicznościach. Łatwo ustalono, że właśnie takim kryptonimem były podpisane niektóre listy wysyłane do Ministerstwa Kultury i Sztuki i do Muzeum Śląskiego z żądaniem okupu za zwrotem skradzionych obrazów.

Akta sprawy „Kanonika" z „Klubu 41" wyjęto z archiwum i znowu znalazły się one na moim stole. Włosy mi dęba stanęły, kiedy po siedmiu latach ponownie zacząłem studiować stare dokumenty. Jak mogłem popełnić tyle tak prostych i od razu rzucających się w oczy błędów?

Nieraz kupujemy gazetę i do rozpuku śmiejemy się z chochlika drukarskiego. Przypomnę choćby najgłośniejszą chyba tego rodzaju historię. Jeszcze z 1912 lub 1913 roku. Cesarz Franciszek Józef wizytował wtedy Kraków. Pismo „Czas", organ artystokracji i galicyjskich konserwatystów, naturalnie jak najbardziej lojalny wobec rządu i monarchii habsburskiej, na pierwszej stronie specjalnego numeru umieścił zdjęcie Franciszka Józefa opatrując je następującym podpisem „Najjaśniejszy Pan znowu wśród nas. Przyjazd cesarza powitało 40 000 ludzi, którzy zebrali się na Rynku Mariackim". Ale chochlik drukarski w słowie „zebrali" zastąpił literę „b" literą „s". Gazeta poszła w świat, a przecież czytali ją: zecer, redaktor techniczny, redaktor dyżurny, korektor i na dodatek dwóch cenzorów. Nikt nie zauważył pomyłki.

W naszym zawodzie oficera dochodzeniowego występuje trochę inne zjawisko. Pracując nad sprawą, której przez całe

lata nie można ruszyć z miejsca, człowieka ogarnia znużenie. Potem nagle przychodzi sukces. Następuje odprężenie, radość, że wreszcie znalazło się rozwiązanie zagadki i.... samouspokojenie, że już się wszystko zrobiło, bo wysiłek nie poszedł na marne. Obrazy odzyskane, sprawca poniósł karę. Tymczasem... Zeznania Janusza Słupa były bardzo obszerne i wiązały się w logiczną całość. Nie ukrywał swojej roli inicjatora i prowodyra. Wskazał na pomocników przy popełnianiu przestępstwa i dokładnie opisał, w jaki sposób młodzi ludzie zakradli się do gmachu Muzeum Śląskiego, jak wyniesiono obrazy i gdzie je przechowywano. Tam, w starym kościółku w parku Szczytnickim, znaleźliśmy przecież ukryte płótna. Uwierzyłem „Kanonikowi". Zapomniałem, że oficer dochodzeniowy nie może nikomu i niczemu wierzyć. Musi wszystko sprawdzić. Jeżeli nie osobiście, to za pośrednictwem podległego sobie aparatu. Oto moje największe zaniedbania:

1) Przyjąłem za prawdziwe słowa Janusza Słupa, że we włamaniu uczestniczyło trzech ludzi: Słup, Jerzy Jakubczak i Roman Kubara.
2) Przyjąłem za prawdziwy opis dostania się do gmachu Muzeum Śląskiego. Nie przeprowadziłem „rekonstrukcji przestępstwa" z udziałem Janusza Słupa.
3) Niedokładnie zbadałem, w jaki sposób dyrekcja muzeum po pierwszej kradzieży eksponatów sztuki złotniczej wzmocniła nadzór nad bezpieczeństwem gmachu.
4) Uszło mojej uwagi, że po kradzieży okno, którym spuszczano na dół obrazy i z którego złodzieje rzekomo zjechali na linie, nie było otwarte, lecz tylko przymknięte.
5) Przegapiłem szczegół, że sznur, który służył do transportu obrazów i ucieczki z muzeum nie był przymocowany do okna (w jaki sposób?), lecz pocięty leżał na ziemi obok gmachu.
6) Nie zastanawiałem się w ogóle nad kryptonimem „K-44". Przyjmowałem, że to tylko mała zmiana w skr[ó]cie dawnego „Klubu 41".

— Co do sznura, to — przerwałem Krz[y]żewskiemu — istnieje tak zwany „złodzie[j]ski węzeł", pozwalający ściągnąć sznur haka czy innego zamocowania. Każdy ha[r]cerz zna ten węzeł na równi z „maryna[r]skim".

— Ja taki węzeł również znam — p[o]wiedział podpułkownik — trzeba jedna[k] było porównać długość sznura znalezion[e]go pod muzeum i tych kawałków, kt[ó]rymi obwiązano paczki z obrazami, z w[y]sokością okna. Wtedy łatwo doszedłby[m] do wniosku, że sznur jest zbyt krótki n[a] „złodziejski węzeł". Trzeba było także wy[p]próbować, czy Janusz Słup umiałby te[n] sznur zamocować na parapecie okna, cz[y] zna „złodziejski węzeł", i czy potrafi si[ę] spuścić na linie z drugiego piętra. A poz[a] tym tuż obok okna biegł kabel odgrom[o]nika. Na to także nie zwróciłem uwag[i].

— Co by dała taka konfrontacja? — zapytałem.

— Po prostu Janusz Słup nie umiałby wskazać pomieszczenia gospodarczego, w którym rzekomo ukr[y]ł się wraz z Jerzym Jakubczakiem i przesiedzieli po zamknięciu muzeum do nocy. Poza tym przekonałbym się, że wszystkie sale i wszystkie pomieszczenia muzeum są przed zamknięciem gmachu dokładnie sprawdzane i ukrycie się gdziekolwiek w budynku jest niemożliwe. To by zresztą przestępcom niczego nie dało, bo sale Galerii Malarstwa Polskiego są dodatkowo zamykane. Nie można więc do nich wejść z wewnątrz budynku.

— Przypominam sobie — zauważyłem — że złodziej sreber Ryszard Wiącek wziął klucze do sali z tablicy z kluczami wiszącej w holu budynku?

— Słusznie — potwierdził podpułkownik — ale po tej pierwszej kradzieży tablicę przeniesiono do innego pomieszczenia i co wieczór ją pieczętowano, zaś klucze do tego lokalu miał tylko jeden z członków dyrekcji muzeum.

— A więc?

— A więc — powtórzył Adam Krzyżewski — gdybym to wszystko wtedy

sprawdził, od razu wiedziałbym, że Janusz Słup kłamie. Nikt się wieczorem nie ukrył w gmachu muzeum. Złodzieje dostali się tam z zewnątrz, wykorzystując w tym celu linkę odgromnika. Naturalnie „Kanonik", mężczyzna o masywnej budowie i sporej wadze, był niezdolny do takiego akrobatycznego wyczynu. To samo można powiedzieć i o Jerzym Jakubczaku, który już nie żył, kiedy Janusz Słup przyznawał się do winy, jednakże mieliśmy dane co do jego wyglądu i budowy. On także nie nadawał się na linoskoczka.

— To Jakubczak i Kubara nie brali udziału w kradzieży?

— Oczywiście, że brali. „Kanonik" mówił prawdę, ale nie całą prawdę. W kradzieży uczestniczyło więcej osób. Janusz Słup brał całą winę na siebie i współudziałem obarczał tylko ludzi będących poza naszym zasięgiem. Natomiast ochraniał innych, którzy wtedy spokojnie spacerowali po ulicach Wrocławia. Powiem więcej, dwóch z tych chłopców wtedy zatrzymaliśmy. Byli oni bardzo blisko związani z osobą głównego sprawcy kradzieży. Jednakże zbyt pobieżnie wówczas potraktowałem obu przyjaciół „Kanonika" i po dwóch tygodniach sam podpisałem nakaz zwolnienia ich z aresztu. Podejrzewałem ich raczej o ostrzeżenie i ukrywanie Janusza Słupa, niż udział w całej akcji. Teraz przyszło nam te wszystkie błędy odrabiać.

— W jaki sposób?

— Przede wszystkim ustalić, co to jest „K-44", kto należał do tej organizacji i jakie były jej cele? Po prostu trzeba było postawić słynne „7 złotych pytań". Kto, gdzie, co, kiedy, jak, czym, dlaczego?

— Znowu start od zera?

— Niezupełnie od zera, bo odzyskaliśmy obrazy i mieliśmy jednego z przestępców, Janusza Słupa. Niemniej wiele kwestii musieliśmy wyjaśniać od samego początku.

— „K-44"? — zapytałem.

— Ustaliliśmy — tłumaczył mi podpułkownik — że do organizacji „K-44" powstałej w 1956 roku po zlikwidowaniu przez milicję „Klubu 41" należeli ludzie, którzy byli zdecydowani wejść na drogę przestępstwa lub też już na nią weszli. Obok dawnych chłopców z „Klubu 41" pojawiają się tutaj nowe twarze.

Przestępczy związek powstał z inicjatywy Janusza Słupa i Michała Zawały. Oto sylwetka tego drugiego, według późniejszego aktu oskarżenia:

»Michał Zawała, syn... urodzony we wrześniu 1938 roku w Hajnówce, zamieszkały stale we Wrocławiu, pochodzenia robotniczego, wykształcenie 7 klas szkoły podstawowej i trzy lata technikum budowy maszyn elektrycznych (technikum nie ukończone), kawaler, zawód — „literat", źródło utrzymania — „zarobki literackie" i praca w Spółdzielni Spożywców „Społem" Oddział we Wrocławiu w charakterze konserwatora urządzeń chłodniczych. Nie karany«.

— Nie wiem jak ten Zawała naprawiał lodówki — uśmiechnął się podpułkownik — nie udało mi się również poznać jego „twórczości" literackiej. Przesłuchiwany przeze mnie młody człowiek zeznawał, że jest w trakcie tworzenia kilku dzieł, które zakasują wszystko, cokolwiek dotychczas w Polsce napisano i wydano, poczynając od Mikołaja Reja a kończąc na Sienkiewiczu i Reymoncie, że już nie wspomnę innych „podrzędniejszych" pisarzy jak na przykład Stefan Żeromski. Jedyny utwór Zawały, z jakim się zetknąłem, to rota przysięgi składana przez każdego członka „K-44".

Michał Zawała wciągnął do „K-44" jeszcze dwóch kolegów z technikum elektromechanicznego. Byli to: najstarszy z całego towarzystwa, bo urodzony w 1934 roku, Franciszek Tankowski, który razem z Zawałą rzucił szkołę w ciągu trzeciego roku studiów i Zenon Bornicz, jedyny w tej grupie ze średnim wykształceniem technicznym. Naturalnie członkami „K-44" byli występujący już w tym opowiadaniu Jerzy Jakubczak i Roman Kubara. Poza nimi do tej organizacji należało kilku młodych ludzi. Ponieważ pozostali „członkami biernymi" i nie brali udziału w przestępstwie, można te osoby pominąć milczeniem.

Celem „K-44" było organizowanie ucieczki z kraju za granicę i zdobycie drogą przestępstwa pieniędzy dla zrealizowania tych zamierzeń.

W lutym 1957 roku, w mieszkaniu Janusza Słupa, odbyło się zebranie, na którym postanowiono włamać się do Muzeum Śląskiego. Już przedtem kilku członków organizacji, między innymi Słup, Jakubczak i Zawała dokonali rozpoznania terenu. Zaplanowano, że do gmachu dostaną się za pomocą instalacji odgromowej, a następnie na parapet okna, na drugim piętrze, właśnie w sali Galerii Malarstwa Polskiego. Okno to należy przedtem w dniu włamania otworzyć i zostawić tak przymknięte, żeby służba muzeum tego nie zauważyła. To zadanie wziął na siebie „Literat".

W czasie omawiania sposobu włamania do muzeum wyłoniła się pewna trudność. Wdrapanie się po lince odgromnika na drugie piętro i przeskok na parapet okna wcale nie było taką prostą sprawą. Żaden z członków zebrania nie mógł się tego podjąć.

Wtedy jeden z byłych członków „Klubu 41" przypomniał sobie „Małpę". Chłopca, który bez najmniejszego trudu wdrapywał się na najwyższe drzewa w parku Szczytnickim. Odszukać go miał Michał Zawała, on też miał namówić „Małpę" do przyłączenia się do „K-44" i wzięcia udziału w „skoku" na muzeum.

Romuald Koletko („Małpa"), chłopiec uczynny i przyjacielski, nie wahał się ani chwili. Jemu także zapachniały zielone banknoty. Złodzieje nie wyobrażali sobie, że można otrzymać co innego w zamian za płótna Matejki, Gierymskiego, Rodakowskiego, Juliusza Kossaka i innych mistrzów pędzla.

Na dwa dni przed kradzieżą członkowie „K-44" zebrali się raz jeszcze i dokładnie omówili plan akcji. Wszystkie szczegóły zostały w nim przewidziane. Przystąpiono więc do realizacji opracowanego planu.

W niedzielę 3 marca rankiem Michał Zawała wszedł do muzeum. Natychmiast po otwarciu gmachu udało mu się wykorzystać taki moment, kiedy w sali malarstwa polskiego nie było nikogo, zaś pilnująca kobieta stała odwrócona tyłem i obserwowała sąsiednie pomieszczenie. Podejście do okna i odsunięcie rygli było dziełem jednej sekundy. Droga do gmachu muzeum stała otworem.

Późnym wieczorem tegoż dnia wszyscy uczestnicy akcji zebrali się w okolicy Muzeum Śląskiego. „Małpa" stanął na wysokości zadania. Jak prawdziwa małpa wdrapał się po cienkiej lince na drugie piętro i stamtąd jednym skokiem dostał się na parapet okna. Pchnął je, uchylił się bezgłośnie. Następnie, podsadzany przez kolegów i asekurowany liną, tę samą drogę przebył Franciszek Tankowski. Ci dwaj zdejmowali obrazy ze ścian i wyjmowali je z ram.

Na dole czekali na cenny łup Michał Zawała i Janusz Słup. Zenon Bornicz i Jerzy Jakubczak stanowili osłonę drugiej linii. Gdyby jakiś zapóźniony przechodzień miał się pojawić w tej okolicy, trzeba by go było zatrzymać. A gdyby, nie daj Boże, pojawił się nad Odrą patrol milicji, to „druga linia" umówionym sygnałem miała ostrzec włamywaczy przed niebezpieczeństwem. Roman Kubara czekał w samochodzie „warszawa" ze zgaszonymi światłami.

Ale żadnego niebezpieczeństwa nie było. Wszystko szło szybko i gładko. Obrazy jeden po drugim wędrowały na dół i żeby nie przeciągać akcji, ostatnie obrazy spuszczono z oprawą. Dopiero w samochodzie wyjęto je z ram, a te wyrzucono.

Kiedy trzynaście obrazów dosięgnęło ziemi, Romuald Koletko spuścił na dół swojego pomocnika Franciszka Tankowskiego. Potem stojąc jedną nogą na parapecie, a drugą na cienkim metalowym haku podtrzymującym linkę odgromnika, „Małpa" zręcznie przymknął z powrotem okno i po paru sekundach był również na ziemi. Operacja „muzeum" zakończyła się pełnym sukcesem.

Teraz nastąpił odwrót bandy. Także i to zaplanowane zostało z najdrobniejszymi szczegółami. Najpierw odjechał samochód z obrazami i z Romualdem Koletką oraz Januszem Słupem. Potem wycofali się „Li-

terat" oraz Franciszek Tankowski. Wreszcie do najbliższego przystanku tramwajowego podążyła straż tylna: Jerzy Jakubczak i Zenon Bornicz.

Nieprawdą były także zeznania Janusza Słupa złożone zarówno w dochodzeniu jak i później potwierdzone przed sądem, jakoby obrazy bezpośrednio po kradzieży przewieziono do starego kościółka. Jako pierwszą skrytkę przygotowano dla nich strych szopy w budynkach gospodarczych, należących do ojca „Małpy". Przestępcy nie ryzykowali przewiezienia łupu do kościoła w nocy. Park Szczytnicki stanowi przecież uczęszczaną drogę łączącą Oporów z Zalesiem. Nie mówiąc już o tym, że łatwo było natknąć się na milicję, przypadkowy przechodzień mógłby zauważyć auto stojące przed kościółkiem i ludzi wynoszących jakieś paczki z wozu.

Dopiero po paru dniach, kiedy Romuald Koletko bał się dłużej trzymać w domu tak „gorący" towar, Słup, Zawała i Tankowski przenieśli obrazy do parku Szczytnickiego. Najpierw jednak trzeba było dobrać nowe klucze do drzwi wejściowych kościoła i zbadać, czy stara skrytka nadal może pełnić swoje przeznaczenie.

Nasz „Literat", Michał Zawała — stwierdził podpułkownik — ponownie przydał się bandzie „K-44". To on był inicjatorem rozpoczęcia rozmów z dyrekcją muzeum dla uzyskania okupu za zwrot obrazów. On układał treść listów do Ministerstwa Kultury i Sztuki, a następnie kreślarz Jakubczak przepisywał je pismem technicznym. Ponieważ nie było to dość wygodne, więc zakupiono na placu Nankera, tam przecież wszystko można było kupić i wszystko sprzedać, maszynę marki „Bambino" i na niej Zawała wystukiwał resztę listów. Później tę maszynę sprzedano na tym samym placu.

Bezowocny wyjazd Romana Kubary do Danii, nagła śmierć Jerzego Jakubczaka i strach, że milicja prędzej czy później trafi na ślad przestępców, spowodowały nieporozumienia w organizacji „K-44". Pierwszy „z interesu" wycofał się Romuald Koletko. Za jego przykładem poszedł Zenon Bornicz. Wkrótce za jakieś inne złodziejstwo milicja przymknęła Franciszka Tankowskiego. Wtedy „Literat", Michał Zawała, obawiając się wsypy, przerwał dalszą korespondencję z dyrekcją muzeum i przestał się interesować obrazami. Na placu boju pozostał samotny i ostatni Janusz Słup, który do końca szukał sposobu spieniężenia tych płócien. Właśnie dlatego „wpadł" jako pierwszy.

Wprawdzie „Kanonik" bohatersko brał całą winę na siebie i jako wspólników kradzieży wskazał tylko Jerzego Jakubczaka i Romana Kubarę, wiedząc, że milicja już ich nie może dosięgnąć, ale prawda wyszła na wierzch. Nie pomogło nawet to, że początkowo Januszowi Słupowi udało się wprowadzić w błąd zarówno oficera milicji jak i prokuratora oraz sąd. Chociaż po latach, cała sprawa najzuchwalszej w dziejach naszej kryminalistyki kradzieży obrazów została w końcu ujawniona.

— Co się stało z pozostałą czwórką włamywaczy? — zapytałem podpułkownika.

— Prawie równo w dziesięć lat po włamaniu do Muzeum Śląskiego wiceprokurator wojewódzki, Emil Tosza, wniósł do sądu wojewódzkiego akt oskarżenia przeciwko Michałowi Zawale, Franciszkowi Tankowskiemu, Zenonowi Borniczowi i Romualdowi Koletce. Wkrótce potem odbyła się rozprawa sądowa. Oskarżeni, którzy w czasie śledztwa przyznali się do winy, teraz odwoływali swoje zeznania, twierdząc, że przebieg kradzieży obrazów znają wyłącznie z opowiadań Janusza Słupa.

Jednakże dochodzenie zgromadziło wiele bezspornych dowodów na to, że cała czwórka brała udział w przestępstwie. Pomimo upływu lat milicji udało się odnaleźć u oskarżonych taki sam sznur i drut, jakie były używane do pakowania obrazów, a nawet zidentyfikować odciski linii papilarnych pozostawionych przez przestępców na papierze i obrazach. Sąd wojewódzki uznał winę całej czwórki za bezsporną i wymierzył im taką samą karę jak pierwszemu z przestępców, Januszowi Słupowi. Sąd Najwyższy ten wyrok utrzymał w mocy.

Widzisz więc, drogi przyjacielu — zakończył swoje opowiadanie Adam Krzyżewski — że tylko w „waszych kryminałach" oficerowie milicji są nieomylni. W rzeczywistości, tak jak inni śmiertelnicy, popełniamy błędy zarówno w życiu prywatnym, jak i w czasie pełnienia swoich obowiązków. Ale na szczęście, gdy jedni się mylą, drudzy ich poprawiają.

— A obrazy? — zapytałem.

— Wiszą spokojnie w Galerii Malarstwa Polskiego w Muzeum Śląskim, które często odwiedzam. Kiedy prowadzę jakąś trudną sprawę i układam sobie genialną teorię, wszystko tak pięknie tłumaczącą, że tylko wyciągnąć rękę do wielkiego, błyskotliwego sukcesu, wtedy idę do muzeum. Patrzę wtedy na obrazy, po czym cichy i pokorny wracam za swoje biurko i biorę się do żmudnej pracy. To mnie nieraz uchroniło od następnych pomyłek. Przypuszczam, że każdy z nas, oficerów dochodzeniowych, ma w swojej duszy taką kapliczkę, i że powinien ją jak najczęściej odwiedzać.

Rozdział X

Jaki ja byłem głupi!

Siedzę w Gdyni w jednej z kawiarni. Naprzeciwko mnie mężczyzna dochodzący czterdziestki. Włosy lekko wyłysiałe, skromnie przyprószone siwizną. Szczupły, niewysoki. Jest marzec 1975 roku. Od dnia kradzieży obrazów w Muzeum Śląskim upłynęło osiemnaście lat i dziewięć dni. A przede mną Janusz Słup. Dawny bohater tej afery.

Wyobrażałem sobie tego człowieka zupełnie inaczej. Dzisiaj niczym nie przypomina tamtego „Kanonika". Mówię mu o tym. Uśmiecha się:

— No tak — przyznaje — wtedy ważyłem chyba z piętnaście kilo więcej. Włosów przez te lata także mi nie przybyło. Nie siedzi się bezkarnie sześć lat w więzieniu.

— Sześć?

— Dostałem siedem, ale trochę mi zdjęli za dobre zachowanie.

— Co było dalej? — pytam.

— Tam, najpierw w Sieradzu, potem w Rawiczu, miałem czas na przemyślenie wszystkiego. Wiele rzeczy zrozumiałem. Po prostu dorosłem. Kiedy sobie uprzytomnię, jaki ja byłem głupi, aż się za głowę łapię.

— Chodzi o te obrazy?

— O wszystko. Obrazy to przecież tylko rezultat mojej głupoty. Marzyły mi się podróże. Zamiast razem z takimi jak ja snuć na ich temat fantastyczne plany, trzeba było po prostu przyjechać tutaj do Gdyni. Wystarczy wyjść na taras widokowy na Kamiennej Górze, żeby widzieć wpływające i wypływające z portu statki. Mogłem płynąć na jednym z nich. Do tej pory już bym świat zwiedził wzdłuż i wszerz. A ja zwiedzałem więzienia.

— Jak potem potoczyły się pańskie losy?

— Pilnowałem się. Kiedy nadszedł dzień wolności, strażnicy uprzedzili mnie, żeby nikomu nie powiedzieć „do widzenia" i żeby się ani razu nie obejrzeć za siebie. Trochę się z tego wszyscy śmieją, ale każdy tak się zachowuje wychodząc z więzienia. Żeby drugi raz do kryminału nie trafić. Mnie się udało. Do Wrocławia wróciłem na kilka dni. Z nikim z dawnych kumpli się nie widziałem. Zatrzymałem się u siostry. Bałem się, że zostać we Wrocławiu to znaczy wrócić do dawnego życia. Wkrótce razem z kuzynem wyjechaliśmy do Gdyni. Tyle marzyłem o podróżach i statkach, a morze zobaczyłem wtedy, w 1966 roku, dopiero po raz pierwszy.

Janusz zamilkł. Nie przerywałem tego milczenia. Jeżeli chce mówić, niech sam powie. Inaczej nic z niego nie wyciągnę.

— Ciężko było. Znalazłem robotę w porcie. Przy załadunku na statki. Praca odpowiedzialna, trzeba się na niej znać, a ja już nie byłem tym „Kanonikiem"

sprzed siedmiu lat. Poza tym nie umiałem pracować. Nigdy przedtem nie pracowałem, nie licząc warsztatu ślusarskiego w więzieniu. Wytrzymałem w porcie zaledwie kilka miesięcy, chociaż zarobki były dobre. Ale uciekłem stamtąd.

— Dlaczego? Nie sprostał pan kondycyjnie?

— Może bym się przyzwyczaił. Ostatecznie człowiek nabiera wprawy i praca staje się lżejsza. Głowa zastępuje mięśnie. Ale bałem się!

— Czego?

— Siebie. Pan wie, w porcie nigdy nie brakuje „okazji". Różne rzeczy wyładowuje się ze statków. Różni też ludzie pracują za portową bramą. Można zarobić... następne sześć lat. Bałem się, że spotkam takich, jakim ja byłem dawniej i dam się wciągnąć. Dlatego uciekłem z portu. Przyjęto mnie do jednego z zakładów przemysłowych w Gdyni.

— Stocznia?

— Nie. Nie powiem panu. Wprawdzie nie nazywam się Janusz Słup, ale może ktoś czytając to, co pan napisze, mógłby się domyślić. A tego nie chcę. Skończyłem z Wrocławiem i z całym poprzednim życiem. Ta rozmowa jest pierwszą od dziesięciu lat na ten temat. Pierwszą i mam nadzieję ostatnią.

— Nie czuje pan żalu?

— Do kogo?

— Do dawnych kolegów, do milicji, do pani Heleny?

— Teraz już nie. Do kolegów to właściwie nigdy nie czułem. Byli podobni do mnie. Po prostu tak samo głupi. A pani Helena, która mnie sprzedała za pieniężną nagrodę? Kiedyś bym ją rozszarpał własnymi rękoma, gdyby w nie wpadła. Ale sześć lat to wystarczająco długi okres, żeby o gniewie zapomnieć. Dziś już do niej nic nie mam. Gdybym ją spotkał na ulicy, może nawet bym się ukłonił. Ale na podejście, przywitanie się i rozmowę nie mógłbym się jeszcze zdobyć. Chociaż rozumiem, że postąpiła słusznie. Pomogła sobie, a mnie i tak by przecież złapali. Jak złapali innych, pozostałych, o których ona nic nie wiedziała, a ja o nich pary z ust nie puściłem. Jednak wydało się wszystko.

— Opierał się pan milicji. Nie chciał pan im wydać obrazów. Dopiero prokuratorowi pan powiedział, gdzie są schowane.

Janusz Słup roześmiał się.

— To także była dziecinada. Jakie to miało znaczenie? Żaden człowiek nie lubi mieć „służbowo" do czynienia z milicją. Ja również. Ale tamto poza mną. Jeżeli pan będzie kiedyś we Wrocławiu, niech pan pozdrowi tego kapitana.

— Podpułkownika — poprawiłem.

— No tak — zgodził się mój rozmówca — do tej pory to już podpułkownikiem został. Wtedy, w 1959 roku nie chciałem, żeby mu dali nagrodę za moją sprawę. Teraz z tego się śmieję.

— Mogę pana zapewnić, że wtedy nagrody nie dostał.

Były „Kanonik" tylko ręką machnął:

— Należała mu się. Ale mnie wymęczył wówczas. Ileż to razy mnie przesłuchiwał. A jednak, do tej pory mam małą satysfakcję, że go trochę wykiwałem. Nie powiedziałem całej prawdy, chociaż swojej roli nie ukrywałem. Nie na wiele się to zresztą zdało, bo później i tak trafił w samo sedno. To może nawet lepiej i dla mnie, i dla tamtych.

— Dlaczego?

— Ponieśliśmy zasłużoną karę. Może nie tyle za kradzież obrazów, co za swoją bezdenną głupotę, że taki skok nam się powiedzie. Dzisiaj wszyscy są na wolności. Uregulowali swoje stosunki z państwem i społeczeństwem. Gdyby nas wtedy nie nakryto, nie wiem, jak by się nasze życie potoczyło dalej? Może ktoś z nas znowu by wymyślił jakiś bezpieczny i szybki sposób zdobycia pieniędzy. I tak by szło aż do tragicznego końca.

— Co pan przez to rozumie?

Janusz Słup wzruszył ramionami:

— Dużo w więzieniu widziałem i słyszałem. Widziałem takich, co szli na lekką, prostą robotę, a kończyli morderstwem i całym życiem w kryminale albo piętnastoma minutami na sznurku. Taki los spotkał jednego z naszych dawnych wrocławskich kumpli.

— Z „K-44"?

— Nie. Ale znałem go bardzo dobrze. Niejedną ćwiartkę wypiliśmy w „Klubowej". Ja miałem szczęście, że szybko wpadłem. Jego złapali dopiero, kiedy zabił. On również spodziewał się po swoim skoku milionów, jak my po tych obrazach. Już go dawno nie ma na tym świecie.

— A Roman Kubara, ten, któremu opłaciliście wyjazd do Kopenhagi? Co się z nim dzieje? Ma pan jakieś wiadomości o nim? Czy jest w Kanadzie?

— Nic o nim nie wiem. Nie wiem także nic o innych. Gdybym któregoś z nich zobaczył na ulicy, to starałbym się nie poznać! Z tamtym życiem zrobiłem koniec. Nie wracam do przeszłości.

— Niech pan mi tylko powie, kto był wtedy przywódcą „K-44"? Kto wpadł na pomysł kradzieży obrazów?

Janusz milczał.

— Pan, czy też ten „Literat", Michał Zawała? — nalegałem.

— Nie powiem panu. To już nieważne. Każdy z nas powinien wiedzieć, co robi. Zdawać sobie sprawę, jakie z tego mogą wyniknąć konsekwencje. Zrobiliśmy głupstwo i srogo za nie zapłaciliśmy. Dzisiaj jestem innym człowiekiem. A tamci? Każdy sam buduje swój los. Nie chcę ich znać, ale życzę im, żeby także poszli drogą, jaką ja wybrałem. Do pana zaś mam tylko jedną prośbę, żeby ta rozmowa była na ten temat pierwsza i ostatnia.

Janusz Słup wstał i wyszedł z kawiarni. Nie zatrzymywałem go.

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 0

W latach 1974—1976 w serii „Ewa wzywa 07" ukazały się:

63 *Marian Butrym* — **Horoskop**
64 *Krystyn Ziemski* — **Rubinowy ślad**
65 *Kazimierz Sławiński* — **Zbrodnia rodzi zbrodnię**
66 *Tadeusz Lembowicz* — **Neseser Marii Visconti**
67 *Helena Sekuła* — **Siedem diabłów dziadka Czarnego**
68 *Izabela Gierszewska* — **Szatan boi się myszy**
69 *Waldemar Kurzejewski* — **Turysta z Durbanu**
70 *Zygmunt Zeydler Zborowski* — **Dżem z czarnych porzeczek**
71 *Jerzy Romuald Milicz* — **Cena utraconego czasu**
72 *Jerzy Edigey* — **Diabeł przychodzi nocą**
73 *Maciej Z. Bordowicz* — **Handlarze jabłek**
74 *Maria Osiadacz* — **Trop wiedzie w historię**
75 *Marian Łohutko* — **Czarno na ulicy Błękitnej**
76 *Wojciech Letki* — **Zbrodnia prawie doskonała**
77 *Andrzej K. Bogusławski* — **Sprawa, której nie było**
78 *Aleksander Mag* — **Podwójna gra**
79 *Zygmunt Zeydler Zborowski* — **Kukułka bez zegara**
80 *Marian Butrym* — **Pajęczyna**
81 *Fryderyka Janis* — **Człowiek z cienia**
82 *Władysław Krupiński* — **Jak pan przeniósł ten gryps?**
83 *Kazimierz Sławiński* — **Romański krzyż**
84 *Helena Sekuła* — **Srebrna moneta**
85 *Ignacy Seweryn Kryński* — **Szwedka**
86 *Stefan Kos* — **Śmierć krąży o zmroku**
87 *Andrzej Krzysztof Barcz* — **Madonna z Piaskowej Góry**
88 *Jerzy Łaniewski* — **Rekontra**
89 *Marian Łohutko* — **Odwołać poszukiwania**
90 *Zygmunt Zeydler Zborowski* — **Dwie lewe nogi**

Cena zł 10,—